

Od teraz „Przekrój”  
zawsze w poniedziałek

za **3,99** zł

Raczkowski  
do Miecugowa:  
Urban jest lepszy  
od Jana Pawła II

24

Prezydent  
wszystkich  
Polaków

16

Góral pije  
i wiesz się  
za dwóch

18

Nowy

NR 13 (3431) / 28 MARCA 2011  
CENA 3,99 ZŁ w tym 8% VAT

**PRZE  
KROJ**

WWW.PRZEKROJ.PL

# Zajrzyj w przyszłość

My już tam jesteśmy **6**



ISSN 0033-2488

INDKES  
371424



13





# Zapraszamy konkurencję na szkolenie

21 kwietnia 2011 r., Warszawa



[www.szkolimydoradcow.pl](http://www.szkolimydoradcow.pl)

Prosimy o potwierdzenie uczestnictwa w szkoleniu do 12 kwietnia 2011 r.

Jeżeli uważasz, że Twój doradca powinien podnieść kwalifikacje – skontaktuj się z nami.

Xelion to grupa najlepszych doradców w zakresie inwestycji w Polsce. Zaniepokojeni jakością doradztwa w kraju zapraszamy doradców ze wszystkich innych instytucji zajmujących się klientami private banking na szkolenie z zakresu doradztwa inwestycyjnego.

[www.szkolimydoradcow.pl](http://www.szkolimydoradcow.pl)



## PRZE KROJ

Założyl w roku 1945  
w Krakowie redaktor  
Marian Elle

### „Przekrój” w sieci:

Proszę państwa! Musimy wyznać prawdę. Całe to zamieszanie z płatnymi treściami w Internecie to skutek głupoty, pazerności i krótkowzroczności. Nie, broń Boże nie naszej. Chochlików. Zapewne pamiętają Państwo czasy, gdy te bezczelne stworzenia gnieździły się w drukarniach, cichcem przestawiając czcionki, wygryzając dziury w tytułach i podmieniając zdjęcia. Jednak od pewnego czasu słuch o nich zaginął. Próżno dziś szukać wyjaśnienia „złośliwy chochlik drukarski zmienił nam podpis pod ilustracją”. Nic dziwnego, bo obmierzłe te bydłeta przekwalifikowały się i zasiedliły nową niszę ekologiczną – Internet. Dzisiejsze e-chochliki dojrzały i ani im w głowach radosne figle sprzed lat. Właściwie obecna ich działalność to raczej temat dla wydziałów zwalczania przestępczości zorganizowanej, jednak jednostki te wciąż nie traktują tematu poważnie. Jedną z chochliczych szajek obsiadła nasza strona [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) i ordynarnie szantażuje redakcję, żądając coraz to nowych megabajtów pożywienia. Podjęliśmy więc radykalne kroki – zamknięcie wolnego dostępu do strony i zmiana jej wyglądu powinny stworzyć skutecznie wyłoszczyć. Dlaczego właśnie tu o tym piszemy? Otóż „Przekrój w sieci” to jedno z nielicznych miejsc naszego tygodnika, które nie trafia do Internetu. Może się swolocznie nie zorientują?



Na Facebooka jeszcze nie weszły



[twitter.com/przekroj\\_pl](http://twitter.com/przekroj_pl) – tu już są



[przekroj.blip.pl](http://przekroj.blip.pl) Blip, chlip, chrup

Przepisy na truciki proszę ślać tu:  
[redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)

# W TYM TYGODNIU

JEDNĄ NOGĄ JUŻ W NOWYM, LEPSZYM ŚWIECIE NIE PISZEMY...

### ...że świat dookoła wciąż wykazuje pewne niedociągnięcia.

Na przykład lewica ma problem z przewodniczącym Napieralskim. Otóż przewodniczący Napieralski coraz częściej mówi. A przemowy wyraźnie mu szkodzą. Niech się lepiej uśmiecha jak szczenińska Gioconda, a premierostwo samo wpadnie mu w sak.

### ...że prezes Kaczyński kłopot ma zgola inny – w prasowej polemice

z premierem Tuskiem zdradził się, że czyta różne książki i wie, kto to był Jackson Pollock, za co został oczywiście zganiony przez światlejszą część liderów opinii publicznej. Obawiamy się jednak, że prezes zamiast czytać, co tam czyta, i łązić po sklepach, powinien zadbać, by paru jego parlamentarzystów (którzy najbardziej lubią czytać „Protokoły mędrców Syjonu” pod słońcem Urugwaju) nigdy więcej

nie trafiło na listy PiS. Bo już jest wstyd, a może być większy.

...że premier zbawiennie do książek w prasowych kazaniach się nie odwoływał, co światlejsza część liderów opinii skwapliwie pochwaliła lub przemilczała, czym się tak uzuchwalił, że postanowił osobiście wziąć cukrowych spekulantów za twarz. No istny Aleksander Łukaszenka. Może niech minister Arabski skotuje jednak premierowi parę

ciekawych książek. Jak go wciągnie akcja, to może oprzytomnieje.

...że przesadzone okazały się doniesienia, jakoby Joanna Kluzik-Rostkowska wyrzuciła samą siebie z PJN. Okazuje się, że na razie doszło tylko do zawieszenia w prawach członkini.

...że Janusz Palikot podobno jeszcze istnieje i na pewno niedługo zobaczymy go w Biedronce.  
MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

W poniedziałek: nowy „Przekrój” – sieć i czytaj.



## TEMAT Z OKŁADKI

- 6 **Zrobiliśmy ten krok.** Jako pierwsi w Polsce udostępniamy odpłatnie całą naszą internetową i iPadową zawartość. Dlaczego? Bo taka jest przyszłość prasy. Czym jest nasza nowa strona internetowa, co znajdziecie na niej, a co w wersji na iPada, co zrobić, by nas czytać w komputerze i na tablecie – wszystko w tekście Piotra Stanisławskiego

## PRZED WSZYSTKIM

- 12 **Jak będzie wyglądać Libia,** jeśli utrzyma się reżim Kaddafiego? Poznajcie Saifa al-Islama, syna dyktatora  
16 **Bronisław Komorowski** jest prezydentem większości „Polaku”. O czym piszemy nie bez „buli”  
18 **Psychiatry pod Tatrami** bezwzględnie potrzebni. Bo górale nie dość, że piją za dwóch, to jeszcze za dwóch się wieszają  
20 **Znów okradli nas z godziny.** Jakby nie wiedzieli, że majstrowanie przy czasie może być śmiertelnie niebezpieczne

## ROZMOWA PRZEKROJU

- 24 **Grzegorz Miecugow** pyta Marka Raczkowskiego, co będzie robił 10 kwietnia

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 28 **Kotlet w pigułce jest już passé.** Dziś możemy posmakować chmur o smaku tarty cytrynowej  
32 **Też pytanie!** Odpowiada Urszula Dąbrowska

## NA POCZĄTEK



**ARTUR RUMIANEK**  
REDAKTOR NACZELNY

### Nowa era „Przekroju”

Jaki inny tytuł nadaje się do rozpoczęcia rewolucji, jeśli nie „Przekrój” – pismo, które przez lata było oknem na świat pokazującym Polakom inną rzeczywistość i wyznaczającym nowe trendy. Nie inaczej jest i teraz.

Od dziś nasze pismo to coś więcej niż tygodnik. To nowoczesna platforma multimedialna skupiająca w sobie teksty dziennikarskie, filmy i seriale, korzystająca z aktywności samych czytelników. Na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) i w aplikacji na iPada spotykają się dwa światy – tradycji i nowoczesności.

Czytelnikami „Przekroju” zawsze byli ludzie o otwartych umysłach. I dlatego wierzę, że to nowe otwarcie na elektronikę znajdzie wśród nich uznanie. W końcu to nie przypadek, że nasz tygodnik ma najwięcej fanów na Facebooku spośród wszystkich tygodników opinii.



**GRZEGORZ HAJDAROWICZ**  
WYDAWCA

### Jak zawsze pod prąd

Zapewne niewiele osób potrafiło przewidzieć 66 lat temu, że założone przez Mariana Eilego w Krakowie pismo będzie przez pół wieku najbardziej popularnym polskim czasopiśmie. Pewnie byli też i tacy, którzy sądzą, że tygodnik o takim profilu – patrzący na świat z dystansem i idący pod prąd – długo nie przetrwa. Stało się inaczej. „Przekrój” nie tylko się obronił, ale też ma się całkiem dobrze. I znów postanowił pójść pod prąd.

Wbrew sceptykom i pesymistom zdecydowaliśmy się na kilka rewolucji naraz. Zmniejszamy objętość papierowego wydania, ale obniżamy jego cenę. A w Internecie (odpłatnie, do czego przymierzają się niemal wszyscy wydawcy, ale nie mieli dotąd odwagi) udostępniamy ogrom materiałów za przystępną kwotę na zasadzie „dużo za niewiele”. Jestem przekonany, że to słuszną drogą, że to przełom na miarę założenia czasopisma, że znowu „Przekrój” będzie liderem zmian w polskich mediach.

Państwo zdecydują, czy będziemy mieć rację. Liczymy na wszystkich wieloletnich i wszystkich nowych Czytelników.

## KONIEC Z KULTURĄ

- 34 **3D jednak górą.** Do wyznawców trzeciego wymiaru dołączyli właśnie najwięksi twórcy autorskiego kina: Scorsese, Wenders i Herzog  
38 **Wrz z nią odeszła złota era Hollywood.** Wspomnienie o Elizabeth Taylor  
40 **Lektura:** Katarzyna Janowska rozmawia z reżyserem „Sali samobójców” Janem Komasa

## OTWÓRZ OCZY

- 44 **Dla Nowego Jorku jest ważny jak Lou Reed, Spike Lee i drużyna Knicksów,** mimo że tylko fotografował to miasto. Poznajcie dzieło Joela Meyerowitza

## RECENZJE

- 48 **Muzyka:** Szubrycht twierdzi, że jest siła w nowej płycie Varius Manx  
49 **Książki:** Sendeki rozjeżdża Dehnela  
50 **Film:** Żurawiecki chwali nową Coppolę  
51 **Teatr:** Wakarowi „Wodzirej” z Imki nie leży  
52 **Gry:** Szewczyk drży o gatunek zwany RPG

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 53, 54, **Rozmaitości**  
55, 58 z krzyżówką, Kronikami popkultury Orbitowskiego, Lewomyślnie Kurkiewiczza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera  
56 **Dziennik** Jerzego Pilcha  
57 **Stopkiatka**  
3, 32, 58 **Raczkowski**

## PRZEKROJ

**ADRES REDAKCJI:**  
ul. Nowogrodzka 47 A,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33,  
faks 22 525 99 88, [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl),  
e-mail: [redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)  
lub [imie.nazwisko@przekroj.pl](mailto:imie.nazwisko@przekroj.pl)

**REDAKTOR NACZELNY:**  
Artur Rumianek  
**ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:**  
Donat Szyller  
**DYREKTOR ARTYSTYCZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
**SEKRETARZE REDAKCJI:**  
Magda Gędziorowska, Piotr Witek  
**SEKRETARIAT:**  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33  
**PRZED WSZYSTKIM:** [wydarzenia@przekroj.pl](mailto:wydarzenia@przekroj.pl),  
Paweł Wieczorek (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz, Maciej Jarkowicz,  
Rafał Kostrzyński, Anna Szulc,  
Małgorzata Święchowicz,  
Joanna Woźniczko-Czczott;  
stałe współpracują: Agata Jankowska,  
Marcelina Szumer

**CYWILIZACJA OD ŚRODKA:** [nauka@przekroj.pl](mailto:nauka@przekroj.pl),  
Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid-Chleb,  
Olaf Szewczyk; stałe współpracują:  
Irena Cieślińska, Urszula Dąbrowska,  
Piotr Kossobudzki

**KONIEC Z KULTURĄ:** [kultura@przekroj.pl](mailto:kultura@przekroj.pl),  
Jacek Wakar (szef), Marcin Sendeki (zastępca szefa),  
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;  
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,  
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska,  
Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

**ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:**  
[rozrywka@przekroj.pl](mailto:rozrywka@przekroj.pl), Marcin Pieszczyk;  
stałe współpracują: Kaliber 45

**PRACOWNIA GRAFICZNA:**  
Łukasz Lełonekiewicz, Bartek Frączyk,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

**FOTOEDYCJA:** [foto@przekroj.pl](mailto:foto@przekroj.pl),  
Marcin Kapica (szef), Marek Szczepański;  
stałe współpracują: Anna Bajorek

**KOREKTA:**  
Dorota Dul, Tatiana Hardej;  
stałe współpracują: Kinga Gruca

**PROJEKT GRAFICZNY:**  
Kasper Skirgajło-Krajewski

**ARCHIWUM:** Dominika Bok

**OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Andrzej Tchórzewski

**STRONA INTERNETOWA I IPAD:**  
Marcin Cichoński, Marcin Kijowski (szefowie)

**REDAKTORZY:** Monika Hrycko-Skowron,  
Tomasz Róg, Maria Włodkowska

**GRAFICY:** Katarzyna Bażela, Jakub Bieda,  
Martyna Marzec

**MULTIMEDIA:** Anna Bajorek, Mikołaj Tocki



**Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,**  
ul. Nowogrodzka 47 A,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

**WYDAWCA:**

Grzegorz Hajdarowicz

**PREZES WYDAWNICTWA:**

Jan Godłowski

**DYREKTOR WYDAWNICTWA:**

Sławomir Mokrzycki

**DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:**

Artur Rumianek

**DYREKTOR PROGRAMOWA:**

Katarzyna Janowska

**PROMOCJA I MARKETING:**

[promocja@przekroj.pl](mailto:promocja@przekroj.pl),  
Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski

**BIURO REKLAMY:**

[reklama@przekroj.pl](mailto:reklama@przekroj.pl), Grzegorz Makowski,  
p.o. dyrektora biura reklamy, 695 414 905  
Małgorzata Skorupa 601 432 821,  
Beata Drogowska 785 855 883, Agnieszka  
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń  
501 227 979, Eliza Zyrońska 785 855 886

**DYREKTOR DYSTRYBUCJI:**

Elżbieta Maciążek

**DRUK:** RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian  
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.



Rysunek  
na okładce:  
Marek Raczkowski

## PRENUMERATA

PRZED WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,  
ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, **Alior Bank SA**  
**80 2490 0005 0000 4600 1542 1792** i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem:  
[prenumerata@przekroj.pl](mailto:prenumerata@przekroj.pl). Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – **166,40 zł**, półrocznej – **83,20 zł**.  
Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. Prenumerata przez RUCH SA – RUCH SA prenumerata  
krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, [www.ruch.pol.pl](http://www.ruch.pol.pl)

vistula.pl

VISTULA  
the men's world



# Ewolucji ciąg dalszy. Schodzimy z drzew

To wielki krok dla „Przekroju”, choć mały dla ludzkości. Wierzymy, że robiąc go, zapraszamy w ważną podróż w przyszłość

PIOTR STANISŁAWSKI

Niewiele się na to zdecydowało. Jednak „Przekrój” już od kilku dni podąża drogą, która na razie jest wąską ścieżką, ale w ciągu najbliższych lat może się stać główną autostradą. Czego dotyczą te górnotne porównania? Cóż, najszerzej rzecz ujmując – przyszłości prasy. Decyzją właściciela od 24 marca tygodnik „Przekrój” odpłatnie udostępni swoją zawartość w Internecie – zarówno na stronie [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl), jak i dzięki specjalnie przygotowanemu programowi działającemu na iPadach.

Choć ta decyzja budzi kontrowersje, jest po prostu jedną z prób rozwiązania problemu, przed którym stoi dziś cała prasa. Zarówno ta tradycyjna, papierowa, jak i ukazująca się na rozmaitych urządzeniach elektronicznych. Na czym polega nasz (a w dużym stopniu także i Wasz, Czytelnicy) kłopot?

## Liczy się tempo

Popularna prasa sprzedaje się coraz gorzej. Dotyczy to niemal wszystkich tytułów i choć z roku na rok mogą one odnotowywać wzro-

sty, to prawda jest nieubłagana – ludzie stopniowo przestają kupować gazety. Najczęściej kupowany obecnie tygodnik opinii, „Polityka”, sprzedawał w roku 2000 244 tysiące egzemplarzy, a w roku 2010 już tylko 143 tysiące. Podobne tendencje widać w sprzedaży dzienników – w 2000 roku ówczesny lider, „Gazeta Wyborcza”, mógł się pochwalić sprzedażą 461 tysięcy egzemplarzy. Dziś dochodzi tylko do 315 tysięcy.

Ponieważ w ostatniej dekadzie zaliczyliśmy ekonomiczne wzrosty i upadki, najdziwniejsze kombinacje polityczne i społeczne, przyczyna naszej niechęci do prasy musi leżeć gdzie indziej. Gdzie? Zapewne w Internecie. Nie przypadkiem pierwsza dekada XXI wieku to zarówno spadek sprzedaży prasy, jak i wzrost liczby polskich internautów z 2,2 miliona do ponad 17 milionów.

Internet prześciga prasę w tempie dostarczania informacji. Ale to w końcu nic nowego – od dziesięcioleci robi to już telewizja. Jednak w sieci możemy samodzielnie decydować o wyborze tego, o czym chcemy wiedzieć.

Doskonale było to widoczne podczas trzęsienia ziemi i tsunami w Japonii. Kanały informacyjne pokazywały, przyznać trzeba, efektowne zdjęcia łądu zalewanego ogromnymi falami wody, od czasu do czasu w studiu pojawiali się rozmaitego rodzaju specjaliści, których akurat udało się ściągnąć przed kamery. Ale w końcu ile można patrzeć na fale – po kilku minutach wchłaniania obrazu typowy konsument informacji pozostawiał telewizor włączony, ale przesiadał się raczej przed komputer. Tu bowiem mógł się dowiedzieć,

jak powstaje tsunami, jak daleko od morza leży Tokio oraz kto aktualnie porzuca Alcję Bachledę-Curuś.

W czasie, który zajęło ustalenie tych kluczowych faktów, fala na ekranie przesunęła się o 200 metrów, kolejny ekspert kończył nakładanie makijażu przed wejściem do studia, redaktorzy papierowych gazet głowili się, czy dawać materiał o Japonii na całą pierwszą stronę jutrzejszego wydania, czy może odstąpić jej część najnowszej politycznej awanturze.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że ludzie nie oczekują już od prasy aktualnych informacji. W końcu w chwili, gdy rozpoczynał się druk kolejnego wydania dziennika, było ono od dobrych kilkadziesiąt minut bardzo nieaktualne. W przypadku tygodników sprawa była właściwie przegrana – wiadomo, że informację o Japonii trzeba umieścić w najbliższym wydaniu, jednak piątkowy termin wydarzenia sprawił, że czasu na reakcję było bardzo niewiele, a informacje o takim „drobiazgu” jak awaria w elektrowni atomowej zupełnie się w poweekendowych wydaniach nie pojawiły.

## Jak zwykle chodzi o pieniądze

Czy w tej i wielu podobnych sytuacjach prasa zawodzi do tego stopnia, że właściwie traci swój sens istnienia? To zależy. Jeśli będziemy oczekiwali od niej podawania najnowszych nowości, to faktycznie jest do niczego – żaden dziennikarz nie prześcignie znajdującego się akurat na miejscu zdarzenia 20-latką wyposażonego w łączący się z siecią smartfon. Ale niewątpliwie zalety istnienia poważnej prasy pokazuje kolejne wydarzenie ostatnich tygodni



Gdy w 1805 roku „Times” donosił o wiktorii floty Nelsona pod Trafalgarem, był bezkonkurencyjnym źródłem informacji

„St. Petersburg Times” z roku 1955. Zdjęcia już standardowo uzupełniają tekst. Bywa, że mówią więcej niż słowo

Rok 1981, „Dziennik Polski” donosi o zamachu na Jana Pawła II. Gazety wciąż składają zecerzy, forma niemal ta sama od lat

„The Guardian” oznajmia, że prezydentem USA został Barack Obama. Skład komputerowy i pełny kolor są już od dawna standardem

„The Daily” – odważny eksperyment finansowany przez Ruperta Murdocha. Pierwsza gazeta, którą można czytać tylko na iPadzie

– awaria elektrowni w Fukushima. W jej przypadku najbardziej potrzebne były nie bieżące informacje o kolejnych kłębach dymu, ale wyjaśnienie, co też ów dym może zawierać, jak działa elektrownia atomowa i dlaczego nigdy nie nastąpi w niej wybuch jądrowy. W takich sytuacjach potrzebna jest zarówno odrobina dystansu, którego zwykle brakuje internetowym i telewizyjnym doniesieniom, jak i możliwość skierowania pytania do fachowca. Najlepiej, jeśli jego słowa zostaną przetu-

maczone z języka fizyki na ludzki, co jest rolą dziennikarzy.

Złapanie eksperta, wypytanie go i napisanie tekstu wymaga, przy sporym wysiłku, dwóch-trzech godzin pracy. Tyle na rzetelne informacje infokonsument może poczekać. Niestety przeszkodą zaczyna być tu papier – by informacja ukazała się na nim, trzeba poczekać na pozostałe teksty, ułożyć je wszystkie na kolejnych stronach, całość wysłać do drukarni, wydrukować, zapakować i rozwieźć po całym

kraju. Zamiast czekać 3 godziny na dobry tekst, trzeba czekać 12 godzin.

Zatem omińmy papier i wrzucamy treści zaraz po tym, jak powstaną, wprost do Internetu! Proste i genialne? Prawie. Bo 20-latek z telefonem wrzuci do sieci swoją relację z czystej chęci podzielenia się informacją. Tymczasem dla dziennikarza to normalna praca, za którą ktoś musi mu zapłacić.

Nie, nie, moment. To myślenie rodem z czasów przedinternetowych! Przecież dziś →

## Znani z iPadami

Bo lubią. Bo to wygodne. Bo taka jest moda, a chcą być na czasie. Bo kiedyś coś chlapani o internautach, którzy jakoby lubią sobie chlapanąć, i teraz próbują zatrzeć złe wrażenie. Bo nie wypada nie. Bo mieści się w torebce łatwiej od notebooka. Bo surfowanie na ekranie smartfona psuje wzrok. Bo mogą tak czytać prasę i książki wszędzie. Bo tak. Bo niby dlaczego nie?



Katie Holmes. Bo Twitter? Facebook? Bo czarny wyszczupła?



Daniel Craig. Bo Q dał mu podobny w prezencie w 1988?



Snoop Dogg. Bo ja wiem?...



Jarosław Kaczyński. Bo „Czego ci Japończycy nie wymyślą!”?



Natalie Portman. Bo czuje Moc?



Dmitrij Miedwiediew. Bo Putin nie ma? Steve Martin. Bo jednak nieprawda, że „To skomplikowane”?



Lindsay Lohan. Bo... Nie, nie pamięta zakupu. Film się urwał.



Michael J. Fox. Bo kiedyś odwiedził przyszłość i wie, na co stawiać?



→ mamy tysiące blogów, często pisanych przez doskonałych fachowców, którzy nie tylko znają się na rzeczy, ale też potrafią ją nieźle wyjaśnić. Tak, to prawda. Tyle że bloger MOŻE, a dziennikarz MUSI napisać tekst. To jego obowiązek, za to dostaje pieniądze. Bloger może pojechać na wakacje, mieć kaca lub zapaść. W końcu blog to jego hobby.

No właśnie, znowu wracamy do pieniędzy. Są potrzebne po to, by stworzyć pewne i wiarygodne źródło informacji. I niestety tworzone za pieniądze informacje trzeba za pieniądze sprzedawać. Ta bolesna prawda wraz z upływem czasu staje się coraz bardziej widoczna. Największe i najlepsze gazety świata, takie jak „New York Times”, „Wall Street Journal” czy „The Guardian”, każą płacić za dostęp do elektronicznych treści. Oczywiście robią to na różne sposoby – „New York Times”, który przez ostatnie lata wymagał od czytelnika tylko rejestracji na stronie WWW, właśnie wprowadza system płatności, w którym za darmo można przeczytać 20 tekstów miesięcznie. Za kolejne trzeba zapłacić abonament, którego wysokość zależy od tego, jakie medium wykorzystamy do czytania.

**Pa, papierze**

Tu dochodzimy do kwestii formy. Powiedzmy szczerze – czytanie dłuższych tekstów na ekranie komputera jest, delikatnie mówiąc, niekomfortowe. Papier można wszędzie ze sobą zabrać, sprawdza się w zatłoczonym autobusie, jak i w toalecie. Dlatego przez ostatnią dekadę nikt nie wróżył przenoszeniu gazet do sieci powodzenia. Czytanie w pracy – zgoda, ale niewiele więcej.

Owszem, przebąkiwano o elektronicznym papierze, o gazetach, które same będą się aktualizowały. I choć nie doczekaliśmy się jeszcze wygodnego e-papieru, rok temu rynek stanął

na głowie za sprawą tabletów. Ścisłej rzecz biorąc – jednego tabletu. Bo choć już wcześniej widywaliśmy podobne urządzenia, dopiero iPad naprawdę podbił rynek i przez wiele miesięcy pozostawał bezkonkurencyjny.


Można na tablety narzekać, można uważać je za kolejny gadżet, można je po prostu ignorować. Faktem jest jednak, że wydawcy prasy oszaleli na ich punkcie. Nagle, jak grzyby po deszczu, zaczęły się pojawiać programy dające dostęp do elektronicznych wersji kolejnych tytułów. „Wired”, „Time”, „New York Times”, „Popular Science” stworzyły aplikacje, które przeniosły ich papierowe wydania na 10-calowy ekran apple'owskiego urządzenia. A ponieważ treść można ubrać tu w różne formy, pomysłów było mnóstwo. Jedni postanowili odtworzyć na tablecie strony internetowe, inni skopiować papier w postaci plików pdf. Jednak standardem stało się to, co zaproponował „Wired” – przeniesienie na ekran wyglądu papierowych stron przy jednoczesnym wzbogaceniu ich o filmy, ruchome infografiki, dźwięki. Choć czyta się to całkiem nieźle, to wciąż pozostaje ten sam problem – miesięcznik nadal jest miesięcznikiem, tygodnik tygodnikiem, a dziennik – zaledwie dziennikiem. Jeśli wydarzy się coś nagłego, statyczne strony ostatniego wydania nadal będą informowały o nieaktualnych sprawach.

Pierwszą gazetą, która naprawdę wykorzystała możliwości, jakie daje stale podłączony do sieci tablet, był wielki, kosztujący 30 milionów dolarów projekt Ruperta Murdocha, który uruchomił „The Daily”. To dziennik niemający swojego papierowego odpowiednika, co więcej – niedostępny nawet w Internecie. Jedynym sposobem jego czytania jest aplikacja działająca na iPadzie, koszt – 99 centów tygodniowo za siedem wydań. Choć treść gazety jest krytykowana jako zbyt miła i banalna,

przyznać trzeba, że twórcy zrozumieli, czym różni się nowe podejście do prasy od przenoszenia papieru na ekran. Już kilkadziesiąt minut po obaleniu rządów Hosniego Mubarak w wydaniu „The Daily” pojawił się krótki tekst na ten temat, a godzinę później cała czołówka gazety została podmieniona. Ale nie ograniczono się do newsów – materiał wzbogacono komentarzem, filmami, zdjęciami.

Czy tak właśnie ma wyglądać przyszłość prasy? Dziś nikt nie jest tego pewien, ale kilka rzeczy wydaje się oczywistych. Przede wszystkim wydawcy muszą przestać myśleć w kategoriach wydań papierowych. Po drugie, nie powinni się ścigać z portalami ani wyspecjalizowanymi w prezentacji wiadomości serwisami – i tak ich nie pokonają. Wartością dobrej prasy od lat są i zapewne w przyszłości też będą rzetelne komentarze, oceny specjalistów, zdanie samych dziennikarzy. Po trzecie, trzeba znaleźć dobry sposób na namówienie czytelników do płacenia za treści w sieci. Czy to w postaci reklam, które muszą obejrzeć, czy bezpośrednio – w postaci abonamentu.

Świadomi tych wyzwań, ale też trudności i wciąż niepewnej sytuacji, rzucamy się na naprawdę głęboką wodę – jako pierwsi w Polsce udostępniamy odpłatnie całą naszą internetową i iPadową zawartość. Staraliśmy się nauczyć na błędach innych, nie przenosimy więc wirtualny świat tylko kopii papierowych stron. Nasza aplikacja to stale aktualizowany, żywy organizm, w którym znaleźć można zarówno informacje o tym, co ważnego dzieje się na świecie, jak i analizy, komentarze oraz spory fragment liczącej 66 lat historii „Przekroju”. Czy nam się uda? Mamy nadzieję, że odkryjemy nowy ład.

 Prezentacja nowej aplikacji „Przekroju”. Daj się skusić. Zobacz i posłuchaj na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

**W podróż z nawigatorem**



**Nowa inwestycja będzie platformą multimedialną „Przekroju” łączącą internet z urządzeniami mobilnymi?**  
– Nie wiem, czy słowo „platforma” jest odpowiednie. Myślę raczej o aplikacji, nawigatorem multimedialnym.  
**W jakiej formie nowa aplikacja „Przekroju”, multimedialny nawigatorem, dostarcza informacje?**  
– W formie zamkniętego serwisu internetowego z abonamentem, z wysokiej jakości treścią. Oferujemy dwa tytuły: „Przekrój” oraz

„Sukces”. Jest tam znacznie więcej treści niż dotąd na papierze. Są różnego rodzaju multimedialne przekazy. Jednym z fundamentów nawigatora jest „Twój Przekrój”, sprofilowany Facebook, czyli miejsce, które pozwoli dzielić się przekonaniami, komentarzami i własną sztuką z innymi.  
**Jak to „sprofilowany Facebook”? Facebook nie jest odpowiednio sprofilowany?**  
– Jeśli zrobiłby pan zdjęcie swego życia i umieścił je na Facebooku, to w zależ-

ności od tego, ile ma pan znajomych, obejrzy je 30, a może 400 osób. „Twój Przekrój” da szansę, by to zdjęcie obejrzały tysiące.  
**Do kogo jest adresowany ten zamknięty nawigatorem?**  
– To aplikacja do odbioru przez 20 milionów internautów w Polsce i za granicą. Ci, którzy mają iPada, mogą skorzystać z niej na tablecie. Mający zwykłe pecety, też mogą skorzystać z naszej oferty. Każdy, kto ma dostęp do Internetu, może nas czytać. Przebojem (jestem o tym przekonany) będą ar-

chiwalne numery „Przekroju”. Jesteśmy jednym z nielicznych polskich tytułów, które bez większego wstydu mogą pokazać swą przeszłość. Całe 66 lat. Mamy okładki ze Stalinem czy Bierutem, ale one po latach są na swój sposób urocze. „Przekrój” zawsze patrzył na rzeczywistość trochę z boku, z ironicznym uśmiechem. Pewnie, że nie był opozycyjny. Ale nie był też kościelny jak „Tygodnik Powszechny”. W tych archiwach jest wielka siła „Przekroju”.  
**NOTOWAŁ PRZEMYSŁAW PAJAK**

**„Przekrój”, jakiego nie było. Przewodnik kieszonkowy**

Nowy „Przekrój” internetowy to znacznie więcej niż zwykły tygodnik. Oto najciekawsze fragmenty wydobyte z jego otchłani

**Przekrój – to, co na papierze, i dużo, dużo więcej**



**W**szystkie teksty, które znajdziecie w papierowym wydaniu, przeczytać też można w Internecie i na iPadzie. Ale uwaga – nie wszystko, co znajdziecie w sieci, pojawi się na papierze! Takie czasy...

**Raczkowski i inni – kultowe rysunki wzbogacone o kultowe animacje**



**K**to by się spodziewał, że Marek Raczkowski może być równie dobrym animatorem jak rysownikiem. Okazuje się, że ruch [postaci] dobrze mu zrobił. Jan Kozłowski i Bracia M. na razie pozostają w bezruchu. Na razie.

**Retro – 66 lat historii. Mamy się czym pochwalić**



**P**iękne, dziwne, czarujące. Archiwalne numery „Przekroju” nadal robią niesamowite wrażenie. Udostępniamy ogromne archiwum, na razie sięgnęliśmy lat 70., ale wkrótce pokażemy wszystkie 3431 numerów.

**Seriale i film – śmiech, refleksja, zaskoczenie**



**F**ilmy – te dobre. Na przykład „Protektor”, zwycięzca zeszłorocznego festiwalu Off Camera. Warto tu zaglądać, bo wciąż pojawiać się będzie coś nowego. No i seriale. Na przykład „Tato, tato” twórcy „Władców móch”.

**Krzyżówka – największe wyzwania, najdłuższe hasła**



**K**rzyżówki „Przekroju” od dziesięcioleci są przeklinane i uwielbiane. Nic dziwnego – mecześnie towarzyszące ich rozwiązywaniu wieńczy granicząca z ekstazą satysfakcja z sukcesu.

**Repertuar – co, gdzie i kiedy można zobaczyć. W kinie i teatrze**



**G**dy najdzie cię nagła, nieodparta chęć rzucenia się w wir kultury, nasze repertuary pomogą ci się ogarnąć, zorganizować i zobaczyć coś, czemu naprawdę warto poświęcić dwie czy trzy godziny.



**Pokręć sobie kość**  
I na stronie WWW, i na iPadzie użytkownika przywita kostka. Sześć ścian to sześć nowych oblicz naszego programu. Kręcenie i pukanie (bądź klikanie) zdecydowanie wskazane

**Kości zostały zrzucone**

**Spółecznościowość przekrojowa**, czyli miejsce, w którym możesz pokazać innym, co robisz

**Twój PRZEKROJ**

**Siedlisko X muzy**, gdzie prezentujemy filmy ważne, ambitne, uchronione albo po prostu zabawne

**Seriale PRZEKROJ**

**Magazyn Sukces**

**Przekrój walczy**, czyli stale aktualizowane siecione wydanie pisma. Masa treści do wyczytania się

**Krzyż**

**Raczkowski to ten pan**, co to robi śmieszne rysunki w „Przekroju”. Inni to inni, którzy u nas rysują

**Co to jest krzyżówka**, tłumaczyć nie będziemy. Ale jej e-wersję naprawdę trzeba zobaczyć

**Nowe** Jeśli tylko do naszej pokrepanej kostki przyklepi taki znaczek, to znak, że warto zajrzeć, co nowego się pod nim pojawiło



**Palcem w górę, palcem w dół.** W ten sposób przejrzysz kolejne działy internetowego „Przekroju”

**Palcem w lewo, palcem w prawo.** To z kolei metoda, dzięki której przejrzysz kolejne teksty w obrębie działu

**Palcem w lewo, palcem w prawo, ale inaczej,** bo podczas czytania tekstu. Tak prześkoczysz do kolejnego materiału

REKLAMA

**Czy auto może mieć jednocześnie fascynującą sylwetkę i pojemny bagażnik?**

**Sprawdź na następnej stronie.**



Das Auto.



# Tak. To nowa Jetta. Volkswagen Jetta.



## Bagażnik: 510 litrów. Spalanie: 4,2 litra. I tak to wygląda.

Spójrz, jak wiele oferuje Ci nowa Jetta. To fascynujące, że tak stylowa, elegancka limuzyna może być jednocześnie aż tak komfortowa i praktyczna. Dzięki niezwykle przestronnemu wnętrzu, wszyscy pasażerowie mogą cieszyć się pełną swobodą ruchów. Pojemny bagażnik oferuje imponująco dużo miejsca na wszystko, co zechcesz zabrać ze sobą. Nowa Jetta tylko jedno ma niewielkie: średnie spalanie. Z najoszczędniejszym silnikiem 1.6 TDI i innowacyjną technologią BlueMotion wynosi ono jedynie 4,2 l/100 km.

**Nowa Jetta. Oficjalnie potwierdzamy: jest doskonała.**



**Das Auto.**



# Następny

Był nadzieją Zachodu na normalne rządy w Trypolisie. Dziś jest koszmarem, który może nadejść po śmierci Muammara Kaddafiego. Jak będzie wyglądać Libia, jeśli reżim się utrzyma? Poznajcie Saifa al-Islama

RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

**B**ył sierpień 2008 roku, kiedy Saif obwieścił, że nie będzie już mieszał się do libijskich spraw wagi państwowej. Jak tłumaczył, dotychczas to robił, bo „nie było odpowiednich instytucji”. Mogło wyglądać na to, że bierze ostateczny rozstrzał z ojcem Muammarem Kaddafim, który po bezkrwawym obaleniu monarchii w 1969 roku zamienił Libię w prywatny cyrk.

Saif zapewniał, że jego relacje z ojcem nadal są bez zarzutu. Wyjaśniał, że demokratyzacja powinna zostać przeprowadzona w ramach obowiązującego systemu, idei państwa ludu wymyślonej przez Kaddafiego seniora. A jednak łatka adwokata przemian w Libii i tak do niego przylgnęła. Przypięła mu ją Francja. Włosi. Wielka Brytania. Nawet Stany Zjednoczone. Wszyscy za bardzo chcieli uwierzyć, że Libię czeka wkrótce przemiana iście gombrowiczowska: oto szczęście wreszcie Muammar i nastanie Saif. Ojczyznę zastąpi sincyzyna. Tymczasem syn idzie w ślady ojca.

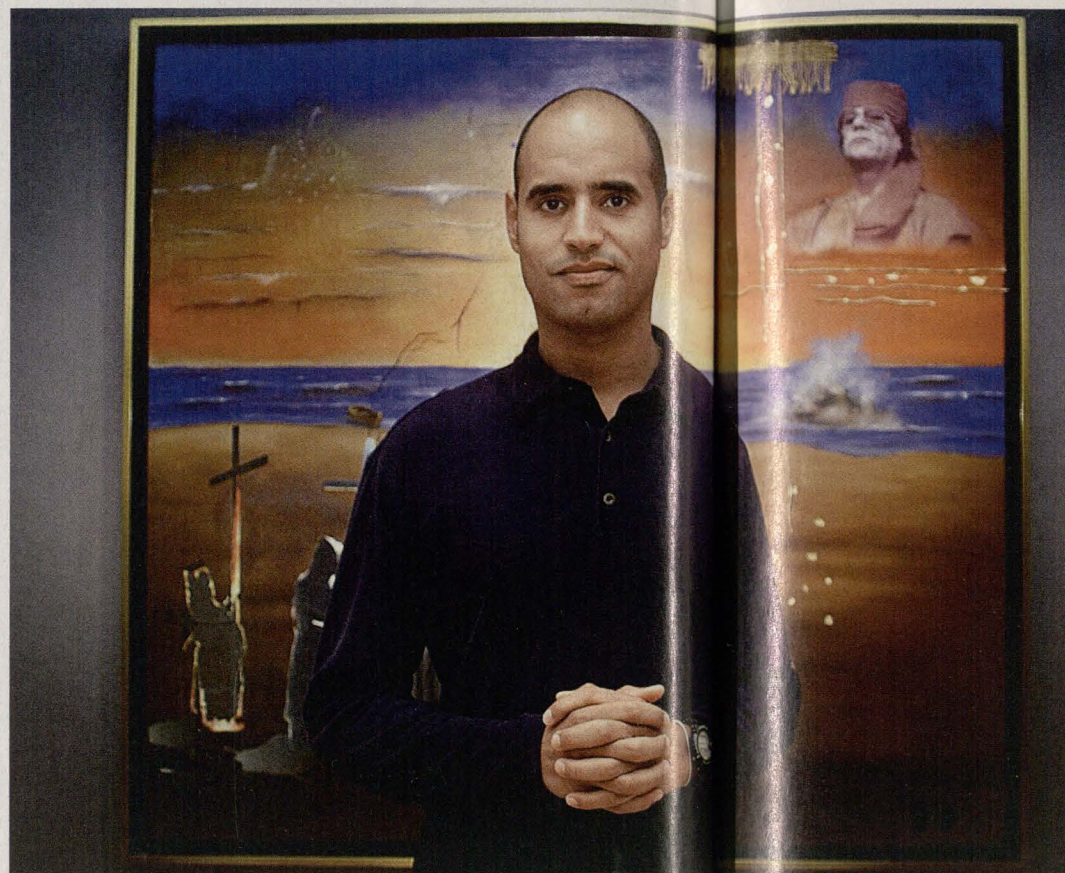
## Doktor z karabinem

Nadzieje Zachodu Saif ostatecznie rozwiął 20 lutego w Trypolisie. Zaraz po tym, gdy Libia dołączyła

do fali protestów, która po Tunezji i Egipcie ogarnęła niemal cały Bliski Wschód i Afrykę Północną, syn dyktatora dał do zrozumienia, z kim trzyma. Najpierw na spotkaniu z grupą zaproszonych dziennikarzy przekonywał, że odgłosy, które słycać, to fajwerki, a nie strzelanina. Potem wygłosił improwizowane przemówienie transmitowane na żywo przez telewizję państwową przypominające wcześniejsze, pozbawione głębszego sensu wynurzenia Muammara Kaddafiego.

Choć na wschodzie kraju kolejne miasta przechodziły pod kontrolę rebeliantów, Saif zaprzeczał, że doszło do rewolucji. Wszystko zrzucił na plemienne waśnie, islamistów, pijaków i narkomanów, groził wojną domową, której konsekwencją będzie przejęcie kontroli nad państwem przez obce mocarstwa, zapewniał, że „Al-Dżazira, Al-Arabija czy BBC nie będą nikogo robić w konia”.

Tydzień później, gdy rebelia ogarnęła już niemal całe libijskie wybrzeże, a wierne Kaddafiemu lotnictwo bombardowało cywilów, Saif poszedł jeszcze dalej. Zaczął szczerzyć swoich zwolenników przeciwko powstańcom, wybuchając przy tym karabinem



Saif al-Islam Kaddafi podczas wernisażu własnych obrazów w Londynie

maszynowym. Zachód się zdziwił. Ten człowiek ma przecież tytuł doktora nauk politycznych zdobyty w London School of Economics, jednej z najbardziej prestiżowych uczelni na świecie. Doktorzy LSE rzadko wygadują takie bzdury i jeszcze rzadziej z bronią palną w ręku.

## Strategia ustępstw

Zdziwienie to jest jednocześnie zasadne i bezzasadne. Zasadne, bo od kilku lat to właśnie Saif dokonywał rzeczy, które przekraczały możliwości jego ojca izolowanego na arenie międzynarodowej za wspieranie terroryzmu. To on negocjował z Włochami odszkodowania za lata kolonializmu. To on doprowadził do podpisania w 2008 roku włosko-libijskiego porozumienia o partnerstwie i współpracy. To on wynegocjował z USA umowę o wypłacie odszkodowań rodzinom amerykańskich ofiar ataków terrory-

stycznych przypisywanych Libii. To on doprowadził trzy lata temu do tego, że Amerykanie zgodzili się na wypłatę rekompensat za bombardowania Trypolisu i Bengazi w 1986 roku (w zemście za atak na berlińską dyskotekę). I to wreszcie jego organizacja – Międzynarodowa Fundacja Kaddafiego na rzecz Stowarzyszeń Charytatywnych – pomogła w zwolnieniu bułgarskich pielęgniarek skazanych na śmierć za rzekome umyślne zarażenie 400 noworodków wirusem HIV.

Z drugiej jednak strony Saif za każdym razem dawał do zrozumienia, że ustępstwa, na które się godził w rokowaniach z Zachodem, miały wyłącznie podłoże strategiczne. Zgadzając się na wypłatę odszkodowań rodzinom ofiar zamachu nad Lockerbie, przyznał, że zrobił to, by doprowadzić do zniesienia sankcji nałożonych na Libię. Bliskim ofiar zarzucił pazerność. „Kupczą krwią

zarządzania: od miękkiej władzy do kolektywnego podejmowania decyzji”, prawie 500-stronicowy elaborat, który można przeczytać w Internecie.

Nikt jednak – wliczając w to promotorów – nie zadał sobie trudu, by porządnie zapoznać się z jego treścią. Pierwsi wnikliwi czytelnicy pojawili się dopiero po lutowym przemówieniu Saifa. Byli to dziennikarze brytyjskiej telewizji Channel 4. Wyszło im, że nie dość, że Kaddafi junior zlecił napisanie pracy ghostwriterowi, to na dodatek ów ghostwriter zerznął ją z innych źródeł.

Dzieła zniszczenia dokonali jeszcze bardziej wnikliwi blogerzy, którzy obnażyli prawdę bardziej kompromitującą – Saif al-Islam dostał tytuł doktora za przeklejenie całych akapitów z tak mało ambitnych tekstów jak choćby informacje o WTO (Światowej Organizacji Handlu) zamieszczone na stronie tej organizacji czy raport sporządzony dla ONZ. Londyńska uczelnia znalazła się w opałach nie tylko dlatego, że przepuściła gniot (choć promotorzy dostali cynk, iż praca mogła być niesamodzielną), ale też że cała procedura weryfikacji na kilometr śmierdziała tak zwaną propozycją korupcyjną: Saif obiecał, że gdy obroni doktorat, jego fundacja prześle LSE półtora miliona funtów. Zdążył przekazać zaledwie 300 tysięcy, ale władze szkoły i tak najadły się wstydu.

## Natchnienie z ONZ

Muammar Kaddafi ma ośmioro dzieci, w tym siedmiu synów. 39-letni Saif, najstarszy po Muhammadzie, jest jego ulubieńcem (o latoroślach dyktatora czytaj na następnej stronie). Ojciec zadbał o jego wykształcenie – wysłał syna na architekturę do Trypolisu, a potem do Wiednia i do Londynu. Studia w London School of Economics Saif rozpoczął w 2002 roku od rocznego kursu podyplomowego, po którym zabrał się do zrobienia doktoratu. Zwińczeniem jego wysiłków była praca pod wyszukany tytułem „Rola społeczeństwa obywatelskiego w demokratyzacji instytucji globalnego

REKLAMA

## Mieszkanie z marzeń w 3D

wybieraj drzwi i podłogi



dobierz kolor ścian



rozstawiaj i przestawiaj meble



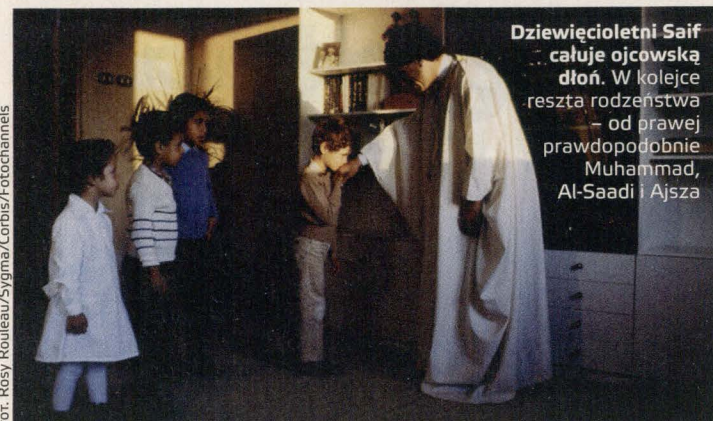
zobacz w 3D, wydrukuj i ruszaj na zakupy!



mieszkanie  
naplanie.pl







**Dziewięcioletni Saif całuje ojcowską dłoń.** W kolejce reszta rodzeństwa – od prawej prawdopodobnie Muhammad, Al-Saadi i Ajsza

→ „Zawsze gdy się przedstawiał, mówił, że nazywa się Saif al-Islam – wspomina Douglas Flahaut, który z nim studiował. – Nigdy nie używał nazwiska Kaddafi. Dopiero po kilku miesiącach zorientowałem się, kim jest. Wtedy zrozumiałem, skąd ma te szyste na miarę garnitury, dlaczego po zajęciach czeka na niego Bentley z szoferem i dlaczego wszędzie towarzyszą mu ochroniarze” – pisze w artykule zatytułowanym „Mój kolega Saif Kaddafi”.

**Rozdarty czy uparty**

Saif lubi przepych i wcale tego nie ukrywa. Studiując w LSE, mieszkał w piętrowej willi przy Cadogan Place w północnym Londynie. Za nic nie płacił. Miesięczny czynsz w wysokości 20 tysięcy funtów i wydatki na imprezy pokrywali jego ochroniarze (libijscy, nie z MI6). A imprezował często i bez umiaru. Sąsiedzi z Cadogan Place mówią, że lubił głośną muzykę i alkohol.

Na jego przyjęciach w najbardziej luksusowych kurortach Europy gościli takie sławy jak książę Monako Albert II, rosyjscy oligarchowie Oleg Deripaska i Jurij Kowalczyk, hinduski król stali Lakshmi Mittal, kanadyjski król złota Peter Munk czy były kanclerz Austrii, nieżyjący już Jörg Haider. Oprawa artystyczna też bywała imponująca. Swoje recitale specjalnie dla Saifa wykonywali Mariah Carey, Nelly Furtado, Beyoncé czy 50 Cent. Za występy inkasowali co najmniej po milionie dolarów.

Tylko Furtado, kiedy dowiedziała się, dla kogo śpiewała, przekazała swoją gażę na cele dobroczynne.

Saif ma wielu znajomych, ale nie ma przyjaciół. „To cham, nie umiał zawierać przyjaźni, otaczał się potakiewcami” – tak gazecie „The Daily Mail” anonimowo opowiadał o nim ktoś z jego bliskiego otoczenia. Teraz, po tym jak stanął u boku swojego ojca, pewnie i znajomych mu ubędzie.

Według Douglasa Flahauta syn Kaddafiego to postać rozdarta. „Kiedy oglądałem go 20 lutego, widziałem dwóch Saifów. Saifa, który pragnie postępu w Libii, i Saifa, który ze strachu o życie wybiera lojalność wobec własnej rodziny” – napisał. Flahaut być może przesadza. W obszernym wywiadzie dla Al-Dżaziry (tej, która „nie będzie nikogo robić w konia”) udzielonym już po wybuchu rebelii Saif ogłosił, że po zdławieniu buntu w Libii zapanuje demokracja, którą zaprowadzą obecne władze. Zatem powtórzył to, co od dawna zapowiadał: że będą reformy i zostaną one przeprowadzone w ramach istniejącego systemu. Gdzie tu więc miejsce na rozdarcie? Wygląda na to, że Saif jest konsekwentny, tylko my opacznie go rozumieliśmy. Możemy się o tym boleśnie przekonać, jeśli francuskie i amerykańskie samoloty oszczędzą Kaddafich, a rebelianci nie będą w stanie odbić Trypolisu – bo dziś wszystko wskazuje na to, że Saif staje się numerem jeden Muammara.

**Gromadka Muammara**



**1. Syn Muhammad**  
**Wiek niezany, pierworodny**  
Wiadomo o nim w zasadzie tylko tyle, że jest najstarszym synem Muammara. Pochodzi z pierwszego małżeństwa, więc jest w niełasce. Odgrywa nieistotną rolę przewodniczącego libijskiego komitetu olimpijskiego.



**5. Syn Mutassim**  
**34 lata, wspólnik CIA, dyplomata**  
Prawdopodobnie stoi za śmiercią Ibn al-Szejka al-Libiego, który miał zeznać CIA, że Saddam Husajn ma broń masowego rażenia. Przesłuchania połączone z torturami miały się odbywać w jednym z libijskich więzień. Al-Libi ich nie przeżył. Teraz Mutassim jest doradcą ojca do spraw bezpieczeństwa. Dwa lata temu przyjął go u siebie szefowa amerykańskiej dyplomacji Hillary Clinton.



**2. Syn Saif al-Islam**  
**39 lat, bohater tekstu głównego**  
Ojciec musi go bardzo kochać, jeśli zaakceptował jego związek z seksbombą izraelskiego kina Orly Weierman.



**3. Syn Al-Saadi**  
**38 lat, piłkarz, prezes, komandos**  
Był chyba najstarszym debiutantem w dziejach profesjonalnej piłki nożnej. Gdy po raz pierwszy wyszedł na boisko w koszulce Al-Ahl Tripoli, miał 27 lat. Wybrał najbardziej gwiazdorską pozycję napastnika. 23 bramki zdobyte w 148 spotkaniach – to wynik, po którym prawdziwi snajperzy wieszają buty na kołku. Al-Saadi uznał jednak, że futbol go potrzebuje, i przeniósł się do Włoch. Tam w trzech dobrych klubach (Perugia, Udinese, Sampdoria) rozegrał łącznie dwa spotkania, w tym jedno na dopingu (niekibicowskim). Dziś jest kapitanem reprezentacji Libii, prezesem związku piłki nożnej i szefem sił specjalnych.

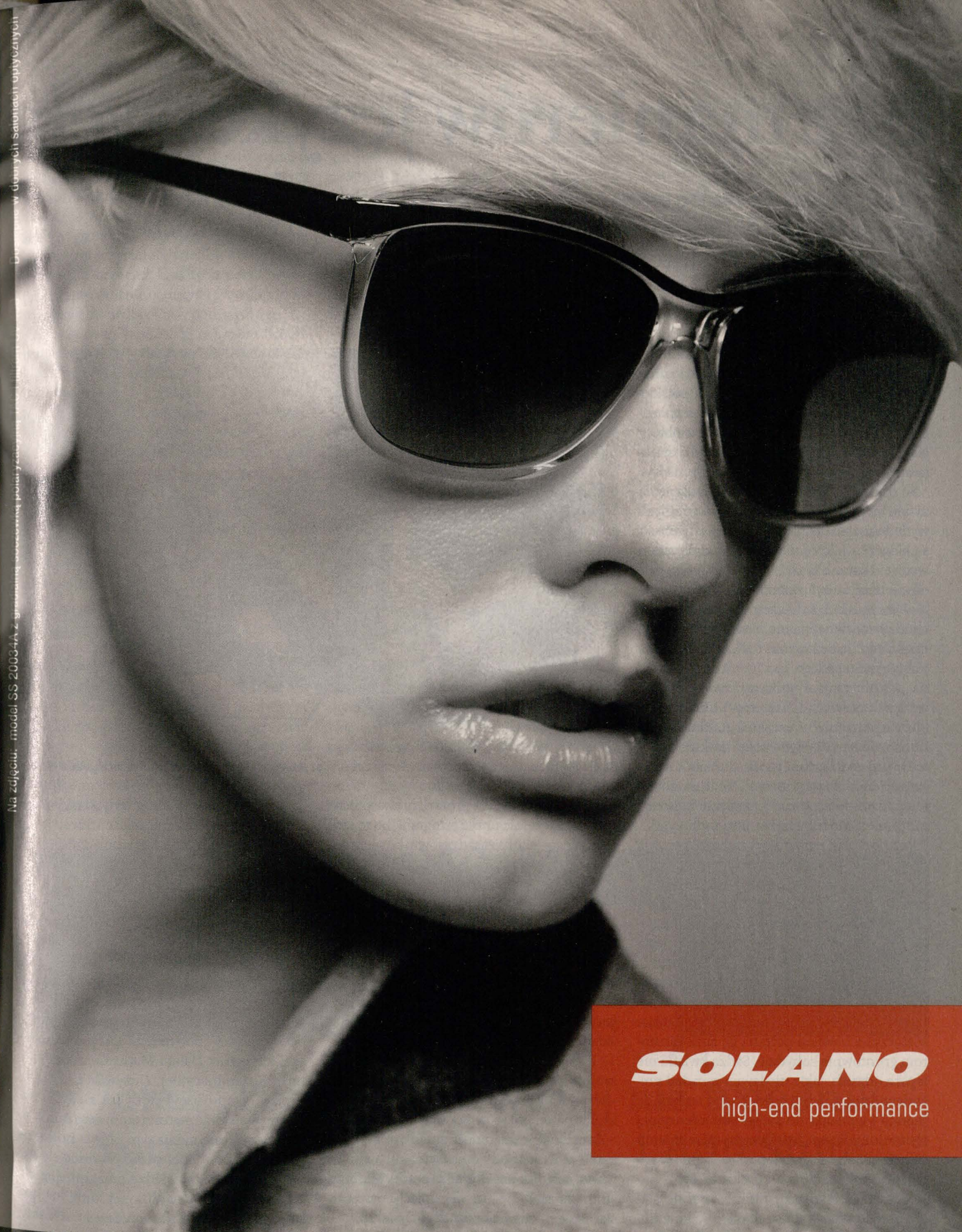


**4. Syn Hannibal**  
**35 lat, wilk morski, hulaka**  
Podobnie jak Muhammad jedno z najmniej faworyzowanych dzieci. Po studiach marynistycznych w Libii, Egipcie i Danii musiał się zadowolić stanowiskiem doradcy Libijskiego Narodowego Zarządu Transportu Morskiego (GNMTC). Jak na marynarza przystało, Hannibal ma krewki charakter. W 2005 roku został skazany we Francji za pobicie swojej narzeczonej. Trzy lata później wraz z ciężarną żoną pobili dotkliwie dwoje gości genewskiego hotelu Président Wilson. Trafili za to do aresztu, przez co Muammar Kaddafi omal nie zerwał stosunków dyplomatycznych ze Szwajcarią.



**8. Córka Ajsza**  
**35 lat, prawniczka**  
Była żoną starszego od niej o 50 lat Idi Amina – prezydenta Ugandy i jednego z najbardziej okrutnych kacyków Afryki. Zrobiła karierę jako adwokat Saddama Husajna i dziennikarza Muntadhara al-Zaidiego, który rzucił butami w George’a W. Busha. Rodziła na ceni jej zdolności mediacyjne. To podobno dzięki niej synowie Kaddafiego jeszcze się nawzajem nie pozabijali.

Na zdjęciu: model SS 2006-4 z górnym okuciem polny z szarymi włosami. W duży cił satynę i cił upływny.



**SOLANO**  
high-end performance



# Bez manierów językowych

**BRONISŁAW KOMOROWSKI**, robiąc błędy ortograficzne, pokazał, że jest prezydentem większości Polaków, a na pewno wszystkich „Polakuf”. O czym informujemy poniżej, nie bez „bulu”

**MALGORZATA ŚWIĘCHOWICZ**

Uznałam, że nie mogę już tego robić, bo oszaleję – opowiada Joanna Kolan, nauczycielka języka polskiego z Bydgoszczy, która zdecydowała się zarzuć sprawdzanie prac maturalnych z obawy o własne zdrowie psychiczne. – Niech zajmują się tym ludzie bardziej odporni – tłumaczy.

Bo trzeba mieć i nerwy, i detektywistyczną żyłkę, by podczas lektury prac maturalnych wydedukować, że „fsgusze” to „wzgórze”, a „blogeż” – jak się niektórym maturzystom wydaje – autor blogu. O „Potopie” można się dowiedzieć, że był „szwecki” z powodu „gwałtu” na polskich kobietach. Z kolei w „Lalce” chodziło o „defraudatora pieniędzy”, „arystokratycznego” i „bez manierów”. Izabela, która jest córką Starskiego, lub Judyma, wychowanka „w kuluarach arystokracji” zwykle odrzucała „zaloty swych kokietery”. „Miała wnikliwe spojrzenie” i czasami „oddawała się duchowieństwu”. Być może Wokulskiemu też by się oddała, choć go nie „lubiała” i miała „za ociemniałego potwora”. Jednak gdyby ten potwór (lub „potfur”) „pogłębił majątek”, to kto wie... Może by się i w nim „zaadużyła”.

Joannę Kolan najbardziej zadziwiła trzecia część „Dziadów”, z której dzięki maturzystom mogła się dowiedzieć, że młodzież polską masowo wywożono na „kibelkach”. Niektórzy mieli wątpliwości, czy to były „kibelki”, „kubitki”, czy „kobietki” (generalnie panie poganiane batem, by szybciej biegły na zsyłkę).

Wyobrażając sobie te zesłania, Joanna Kolan postanowiła nie katować się już maturami i nie psuć sobie więcej żadnego maja. Maturzyści bowiem potrafią go egzaminatorom gruntownie zohydzić. Sadzą kwiatki nie lepsze od tych, jakie niedawno zasadził prezydent Komorowski, odwiedzając ambasadę Japonii i wpisując do księgi kondolencyjnej słynne już zdanie: „Jednoczymy się w imieniu całej Polski z narodem Japonii w bulu i w nadziei na pokonanie skutków katastrofy”.

Dariusz Chętkowski, pisarz i publicysta, ale przede wszystkim polonista w łódzkim



Za chwilę prezydent RP zamachnie się na zasady języka ojczystego. Nie ma już dla nich „nadzieji”

XXI LO, nie udzieli prezydentowi prostej rady, by zaczął się uczyć ortografii, bo to rada do niczego – nauka zasad pisowni bowiem wydaje się już ponad siły współczesnego Polaka.

## Matóra dla każdego

W 2010 roku do sprawdzenia było ponad 1,7 miliona prac maturalnych, nad którymi głowiło się 28 tysięcy nauczycieli. Narzekali oni na niską świadomość językową maturzystów, prace zawierające kolokwializmy i wulgaryzmy, błędy nie tylko ortograficzne, ale też składniowe, logiczne, stylistyczne.

– Kiedyś nie można było zdać matury, jeśli zrobiło się więcej niż trzy błędy ortograficzne – wspomina Chętkowski. – Teraz można ich zrobić nawet pół setki na każdej stronie.

Za rażącą nieznamość zasad ortografii egzaminator może odjąć maksymalnie 3 punkty (na 50, które można dostać za pracę). Maturzystom przestało się już więc opłacać nawet zaświadczenie o dysleksji.

– Jeszcze kilka lat temu były klasy, w których takie zaświadczenie miał co trzeci uczeń. Teraz prawie nikt mi ich nie pokazuje – wyjaśnia Chętkowski. Uczniowie nie tłumaczą się dysleksją, po prostu robią błędy i już.

– Mniej osób stara się o zaświadczenie. Nie ma zwyczaju – przyznaje Ewa Jakacka, wiceprzewodnicząca Polskiego Towarzystwa Dysleksji.

– Powód to kryteria oceniania, które nie karzą już aż tak bardzo za błędy ortograficzne, a w niektórych przypadkach pozwalają w ogóle nie brać ich pod uwagę podczas oceny zadań – potwierdza Lucyna Grabowska, kierownik Działu Matur Centralnej Komisji Egzaminacyjnej. Oczywiście – jak zauważa – najprościej byłoby jak kiedyś liczyć błędy i wpisywać maturzystom zero punktów za egzamin, ale nie na tym polega nowoczesne ocenianie. – Sprawdzać powinno się rzeczy najważniejsze: wiedzę oraz umiejętność

wypowiadania się w dłuższej formie w sposób spójny i logiczny. Współcześni dydaktycy

twierdzą, że ortografia nie jest najważniejsza. Poza tym język to przecież też gramatyka, odpowiednia składnia, frazeologia – wyjaśnia.

Oczywiście do CKE docierają głosy nauczycieli niezadowolonych z minimalizowania znaczenia ortografii, ale – jak się tu zauważa – buntuje się mniejszość. Na dodatek sytuacja jest paradoksalna: CKE broni uczniów, których nauczyciele chcieliby srogo karać za błędy, a przecież ktoś tych uczniów poprawnej pisowni nie nauczył. I prawdopodobnie sprawę zaniedbał już w podstawówce.

Na przykład Chętkowski w swoim liceum nie kładzie nacisku na ortografię, bo za późno i szkoda czasu. Rozliczany jest z tego, jak uczeń wypadnie na maturze, a skoro może wypaść dobrze, nie znając zasad... – Oczywiście kiedy sprawdzam prace klasowe, wytykam błędy i obniżam oceny, ale czuję się z tym trochę staroświecko – mówi z przekąsem.

– Ja też jeszcze walczę – dodaje Kolan. – Tłumaczę kolejnym uczniom, że jeśli każdy zacznie pisać, jak mu się podoba, to przestaniemy się rozumieć.

## Uprzejmie donoszę

Mimo ulgowego traktowania błędów ortograficznych wyniki matury z języka ojczystego nie są dobre – w ubiegłym roku uczniowie wypadli gorzej niż na egzaminie z języka angielskiego, niemieckiego, a nawet hiszpańskiego. Profesor Jan Hartman z UJ już dwa lata temu bił na alarm, zauważając, co się dzieje z naszym językiem. Zaniepokojony tym, że co drugi student nie potrafi napisać poprawnie kilku prostych zdań, domagał się debaty. Obróć takich półanalphabetów po tytuł ma-

gistra sięgają też wręcz analfabeci (mniej więcej co dziesiąty – jak wylicza profesor – ma objawy typowe dla kogoś, kto nie umie czytać ani pisać: stawia kulfony, które nie tworzą spójnych zdań, a jedynie zbitki pozbawione wielkich liter, kropek, podmiotów, orzeczeń i sensu). Profesorowi Hartmanowi wtórowało wielu innych nauczycieli akademickich, którzy zauważyli, że poziom językowych kompetencji spada na łeb na szyję – jeśli student ma coś napisać (nie na komputerze), sadzi byka na byku. Coraz częściej też wykładowcy natykają się na zdania zapisane fonetycznie, z czego wypływa prosty wniosek, że język polski zaczyna być znany już jedynie ze słyszenia.

Zauważa się to nie tylko na uczelniach.

– Dobrze, że społeczeństwo nam się informatyzuje – tłumaczy Andrzej Bartyska, rzecznik Urzędu Kontroli Skarbowej w Gdańsku. Co roku do urzędu przychodzi coraz więcej donosów (formalnie: „doniesień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa”) – od 2007 roku nastąpił 45-procentowy wzrost tej obywatelskiej twórczości i gdyby każdy pisał wyłącznie klasyczne donosy (kartka papieru wyrwana z zeszytu w kratkę odręcznie zapisana koślawym pismem z błędami), potrzeba byłoby sztabu ludzi do ich rozszyfrowania.

## Hetnie popracóje

Nawet gdy nam wyjątkowo zależy i nie piszemy do urzędów w cudzej sprawie, anonimowo, ale w swojej i pod nazwiskiem, nie dość się przykładamy. Robimy byki, choćby w CV.

„Skończyłem liceum, ale znam się na mórarcie” – takie aplikacje dostaje wielu pracodawców. Niedbale pracy szukają nie tylko

„móraże” („murasze” też) i nie tylko „tokaże”, „żeźnicy”, „chydraulicy” czy „kuharze”.

– Wydawałoby się, że ludzie z wyższym wykształceniem powinni popełniać mniej błędów, a jednak robią je bardzo często – mówi Aneta Szczygieł, ekspert rynku pracy.

Kłopot mają nawet ci, którzy od razu chcą być menedżerami. Nie są jednak zdecydowani, czy chcą być „menagerem”, „menadżerem”, czy może „menedżerem”. – Nie sprawdzają pisowni, a mogliby przecież sięgnąć do słownika, poprawić błędy. Ale nie zadają sobie tego trudu. Wysyłają CV, myśląc, że jakoś to będzie – tłumaczy Marek Karczewski, który tak jak Aneta Szczygieł jest ekspertem portalu Praca.pl. Ten serwis zbadał ostatnio umiejętności językowe kandydatów szukających pracy. Okazało się, że aż czterech na dziesięciu popełnia błąd w pisowni zawodu, jaki wykonuje lub chce wykonywać. Prym wiodą ślusarze i właśnie menedżerowie – z tych ostatnich tylko połowa wie, jak poprawnie napisać to, czym się zajmuje. Co dziesiąty szuka pracy „manadzera”, ale zdarza się, że chętnie przyjąłby stanowisko „akont manadzera”.

Błędy ortograficzne to dyskwalifikacja, zwłaszcza gdy w jednym zdaniu pojawi się więcej niż jeden – ostrzegają eksperci rynku pracy. Ale kto ich teraz posłucha, skoro językowe wpadki zdarzają się nawet temu, kto zajął najwyższą posadę w kraju?

– Ja o „bulu” prezydenta nawet nie rozmawiałam z uczniami – przyznaje Joanna Kolan. – Bo o czym tu dyskutować? Nawet nie chodzi o to, że nie wypada narażać głowy państwa na śmieszność. W klasie nikt by się nie śmiał, zaśmiechać. Panowałaby raczej grobowa cisza. ●

REKLAMA

6

x więcej

PRZEKROJ

Teraz „Przekrój” to więcej niż tygodnik.

Sprawdź! [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) i App Store



# Pije góral do sznura

Pod Tatrami pojawili się psychiatrzy. Przybyli, by wyciągnąć górali z karczmy. Bo góral z Podhala nie dość, że pije za dwóch, to jeszcze za dwóch się wiesz

ANNA SZULC, AGATA JANKOWSKA

**M**aciej G., właściciel willi w Zakopanem (prywatne kwatery), mąż i ojciec trojga dzieci, góral z dziada pradziada, z suto zakrapianych śliwownic chrzcin bratanka wrócił w styczniu o 2 w nocy. Chwiejnym krokiem wspiął się po schodach na strych. Ściągnął koszulę, z szyi zdjął łańcuszek z krzyżykiem. Krzyżyk pocałował.

„Siła w nos, góralach” – zanucił jeszcze fragment modnej pieśni śpiewanej od lat przez kapelę Trebunie-Tutki z Białego Dunajca. A potem zawiesił na belce stropowej sznur.

Anna, żona Macieja, niegóralka, bo z Łodzi, wparowała na strych w ostatniej chwili. G. miał właśnie kopnąć stołek.

## Śmierć łatwa i prosta

– Chłop mi zwariował – wyjawia „Przekrojowi” Anna G. – Wiesz się średnio trzy razy w roku.

Żona nie rozumie męża. Na brak pieniędzy nie narzekają. Dzieci zdrowe, dobrze się uczą.

Gdyby Maciej G. skutecznie targnął się na życie, zawyżyłby zastraszające statystyki Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. A wynika z nich, że od drugiej połowy ubiegłej dekady tylko w powiecie tatrzańskim rocznie samobójstwo popełnia około 20 górali (wcześniej nawet o połowę mniej). W przeliczeniu na liczbę mieszkańców tego regionu to dwa razy więcej niż w innych częściach Polski. Co ciekawe, są wierni jednej metodzie – zwykle odbierają sobie życie za pomocą sznura.

– Bo to łatwa i prosta śmierć, nie wymaga przygotowań – tłumaczy profesor Brunon Hołyst, suicydolog.

– W ostatnim czasie tylko jedna osoba najpierw podcięła sobie żyły. Ale potem i tak się powiesiła, więc nie wiadomo, wskutek czego zmarła – dopowiada nadkomisarz Kazimierz Pietruch, rzecznik prasowy zakopiańskiej policji. Ale samobójców w pewnym sensie rozgryszka. Twierdzi bowiem, że głównym winowajcą jest wiatr.



Górale piją dużo, choć tu akurat musiał siedzieć turysta, bo miejscowi wolą wódkę lub śliwownicę

– Kiedy halny zawieje, górale dostają małego rozumu – uważa nadkomisarz. – W najlepszym razie biją się, awanturują, piją.

## Poeta z promilami

Może właśnie dlatego na pijanego górala łaskawie spojrzął w ubiegłym roku prezydent RP Lech Kaczyński. Mowa o Franciszku O. ze Starogo Bystrego, znanym podhalańskim działaczem kultury i poecie. Wczesną wiosną cztery lata temu prowadził samochód z dwoma promilami alkoholu w wydychanym powietrzu. Sąd w trybie natychmiastowym skazał go na sześć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata oraz wydał zakaz prowadzenia pojazdów na trzy lata. Lech Kaczyński jednak go uwłaskawił. Wcześniej pozytywną opinię o poecie wydał sąd.

– Przyzwolenie na picie jest u nas większe niż gdzie indziej, niestety – przyznaje Andrzej Gut-Mostowy, poseł PO i góral. Dodając, że wpływ na to ma wielowiekowa tradycja. No i niesprzyjający abstynencji klimat. Nie wiadomo, czy sądy uwzględniły uwarunkowania klimatyczne w stosunku do tych górali, którzy w ostatnich kilku miesiącach po pijaku: a) w nocy

wybudowali sąsiadowi przed domem ścianę z pustaków, tak by zasłoniła mu okna, b) polibacji z turystą spod Lublina ogołocili go i pozostawili na mrozie bez butów i skarpetek, c) spreparowali z denaturatu, bejcy i pasty do butów imponującą kolekcję butelek ze „śliwownicą”. I czy na przychylność sądu będzie mógł liczyć zakopianin, który w mundurze amerykańskiego policjanta – też, rzecz jasna, pod wpływem – zatrzymywał kierowców, po czym sięgał po ich telefony komórkowe?

A jak Temida potraktuje górala, który jesinią po alkoholu wbił ojcu nóż prosto w serce? Albo trzech innych niepełnoletnich mieszkańców Podhala, którzy po kilku głębszych nieproszeni wtargnęli na wesele? Dla części weselników impreza skończyła się w szpitalnych łóżkach. Co prawda pan młody uszedł z życiem, ale z uszkodzoną od ciosu nożem wątrobą. W końcu to nic dziwnego. W końcu to nie było byle jakie, tylko góralskie wesele.

## Twardzi, nieugięci, z psychozami

Podpici ojcobójcy i pogromcy wesel mogą dziś liczyć na przychylność psychiatrów, którzy wzięli Podhale pod lupę. A to dlatego, że

powiat tatrzański produkuje też w polskich statystykach dotyczących psychoz alkoholowych. O ile jeszcze w 2003 roku liczba osób cierpiących na nie (w przeliczeniu na liczbę mieszkańców) nie przekraczała pod Tatrami średniej krajowej, o tyle już pod koniec dekady odnotowano 43 przypadki psychoz w liczącym sobie 65 tysięcy obywateli powiecie tatrzańskim. Średnia polska wyniosła 29 na 100 tysięcy obywateli.

O diagnozę psychiatryczno-socjologiczną powiatu tatrzańskiego pokusiła się doktor Iwona Koszewska, psychiatra z Warszawy i założycielka fundacji Profilaktyka Prewencja Leczenie „Cumulus”. Ale już wcześniej pojawiała się pod Tatrami, by rozmawiać z lekarzami, nauczycielami i księżmi, żeby potrafili skutecznie reagować, gdy podejrzewają u kogoś depresję. Jednocześnie przez dwa lata zbierała analizy na temat stanu psychicznego Podhala. Pełną diagnozę doktor Koszewska przedstawiła władzom powiatu na początku marca.

– Posiłkowałam się danymi uzyskanymi od instytucji naukowych i policji. Starłam się przeanalizować, jakie w tym konkretnym regionie występują czynniki ryzyka i czynniki ochraniające przed depresją, nagłym kryzysem czy samobójstwem – wyjaśnia psychiatra. Do bodźców, które mogą mieć wpływ na samopoczucie psychiczne, Iwona Koszewska zaliczyła również wiatr halny. Według specjalistki próbą rozwiązania problemów psychicznych i alkoholowych pod Tatrami byłoby wcielenie w życie przez władze regionalnego programu zapobiegania depresjom i samobójstwom.

## Pogarda dla lichych

Tymczasem Andrzej Skupień, wicestarosta powiatu tatrzańskiego, przyznaje nam, że taki program pomocy dla górali w depresji i górali nałogowców już jest. Od dwóch lat. Ale nie

startuje, bo (jak zwykle) nie ma pieniędzy. Choć wicestarosta też przyznaje, że „górala do kieliszka gna”.

– Gna, jeśli coś nie idzie po jego myśli. Wtedy zamyka się w sobie, oddaje melancholii. I pije – wyjaśnia obrazowo.

Nieco inaczej widzi to krakowski reżyser Artur „Baron” Więcek, współtwórca filmowej serii „Historii filozofii po góralsku według księdza Józefa Tischnera”. Notabene też góral, choć z Limanowej.

– Góral żyje na sto procent. Niczego nie udaje. Jak się bawi, to trzy dni tańczy i śpiewa.

*Gdy wieje halny, górala dopada zły nastrój. Bo wtedy uświadamia sobie, jak jest słaby wobec natury*

Kiedy jest smutny, łapie za sznur. Na Podhalu nie ma miejsca na półśrodki – uważa „Baron” Więcek.

Według Macieja Pinkwarta, publicysty i znawcy Podhala (Mazowszanina od ponad 40 lat pod Tatrami), na mentalność górali przez wieki potężny wpływ miał surowy klimat, a także izolacja od innych społeczności.

– Górale przez setki lat musieli sobie radzić ze wszystkim sami, nie liczyli na wsparcie państwa, nie ufali obcym – uważa publicysta. – A warunki do życia mieli trudne. Wypracowali więc sobie model społeczności oparty na zasadzie, że życie trzeba brać bez sentymentów. W takim modelu nie ma miejsca na osłabienie, załamanie, depresję. Jeśli się pojawia, trzeba je zalać alkoholem, bo wtedy humor, choć na chwilę, wraca.

Dziś też góralom nie brakuje powodów do stresów. Pinkwart wymienia choćby pusto-

szejącą góralską kiesę. Turyści coraz częściej wybierają Słowację i Alpy niż Podhale.

– I jeszcze ten halny... – wzdycha poseł Andrzej Gut-Mostowy. – To przecież wiatr powoduje, że w ciągu zaledwie kilku godzin osnieżone narciarskie stoki zamieniają się w błoto, turyści pakują walizki i wracają do domów.

Wtedy górala dopada zły nastrój. Bo uświadamia sobie, jak jest słaby wobec natury.

A słabość, o czym już była mowa, twardym ludziom gór nie przystoi.

– Gdzie słabość, tam diabeł szybciej ogonem miesza – zauważa z powagą w głosie wicestarosta Skupień. Ta metafizyczna z ducha sentencja wiele mówi o władzach pod Tatrami, które zamiast finansować programy przeciw alkoholizmowi i depresji, zdają się na łaskę i niełaskę sił pozaziemskich. A te, jak wynika z innego popularnego pod Giewontem powiedzenia, właściwie nie mają nic przeciwko temu, że górale piją. Bo przecież „chwała Panu Bogu, Panu Bogu chwała, że się kościół spalił, a karczma została”.

## Po dachowaniu do bitki

Tylko w marcu policja na Podhalu natknęła się na górala, który z karczmy przeniósł się na fotel kierowcy regularnej linii przewozowej Zakopane-Zaskale (dziewięciu pasażerów na pokładzie), mieszkańca Zakopanego, który zdecydowanie narąbany wjechał swoim autem na policyjny parking, po czym zaczął się awanturować z funkcjonariuszami, że nie ma jak się z niego wydostać. Wreszcie na mocno podchmielonego górala, który po dachowaniu auta i ścięciu słupków drogowych został odwieziony do szpitala. Tam bardzo się zdenerwował, bo usłyszał, że przebada go nie tylko chirurg, ale też, być może, psychiatra. W związku z tym poczuł się na tyle dobrze, że z pięściami rzucił się na sanitariuszy. ●

REKLAMA

Czas na finansowanie\*  
czy finansowanie na czas\*?

\*niepotrzebne skreślić

www.bosbankdlafirm.pl

BOS  
BANK



# Złodzieje czasu

Majstrowanie przy czasie może być śmiertelnie niebezpieczne. A my właśnie beztrąsko przestawiliśmy wskazówki na czas letni

ŁUKASZ WÓJCIK

**Z**nów nas okradli. Chodzi niby tylko o 60 minut, które mają oddać jesienią, ale za kogo oni się uważają? Politycy mocą rozporządzenia sprawili, że wskazówki naszych zegarków przeskoczyły o godzinę do przodu, a słońce pojawiło się później. Teraz oczekują, że będziemy wdzięczni za dodatkowe 60 minut światła dziennego. To dla nich typowe – udają, że coś dali, a tak naprawdę właśnie to ukradli.

Idea czasu letniego na pozór jest sensowna. Pod koniec marca słońce wstaje już dużo wcześniej niż przeciętny Polak. Po co więc marnować światło dzienne, skoro można zmusić nas do wcześniejszego opuszczenia łóżka, udając, że godzina 6 to tak naprawdę 7? Zwłaszcza że może to przynieść wiele korzyści.

Najważniejszą jest ponoć oszczędność – w tym przypadku energii elektrycznej. Rano słońce pojawia się później, ale za to dłużej z nami zostaje, dzięki czemu jeszcze późnym popołudniem nie musimy włączać domowego oświetlenia. Tyle teorii. Natomiast w praktyce na przykład Rosjanie w stosunku do czasu zimowego oszczędzają w ten sposób tylko pół procent energii. Bułgarzy – zaledwie 0,01 procenta. A Polacy? Nawet tego nie wiedzą – w 2009 roku Ministerstwo Gospodarki twierdziło, że zmiana czasu na letni ma „niezauważalny” wpływ na krajowe zużycie energii. A trzeba będzie jeszcze doliczyć rosnące koszty klimatyzacji – jeśli dzień jest dłuższy, szczególnie w ciepłe lato, klima działa pełną parą do późnego wieczora. Oszczędności są więc tym bardziej wątpliwe.

Drugi argument przemawiający za zmianą czasu to wypadki samochodowe, do których często dochodzi o zmierzchu. Według londyńskiego laboratorium badań nad transportem później zachodzące słońce zmniejsza liczbę wieczornych kolizji w Europie średnio o 15 procent. Problem w tym, że w kilku europejskich krajach „kołdra czasowa” bywa za krótka i wraz ze zmianą czasu na letni to rano z kolei jest dłużej ciemno, w związku



Ze względów kartograficznych powinny być 24 strefy czasowe. Ze względów politycznych jest ich 39

z czym gwałtownie rośnie liczba porannych wypadków.

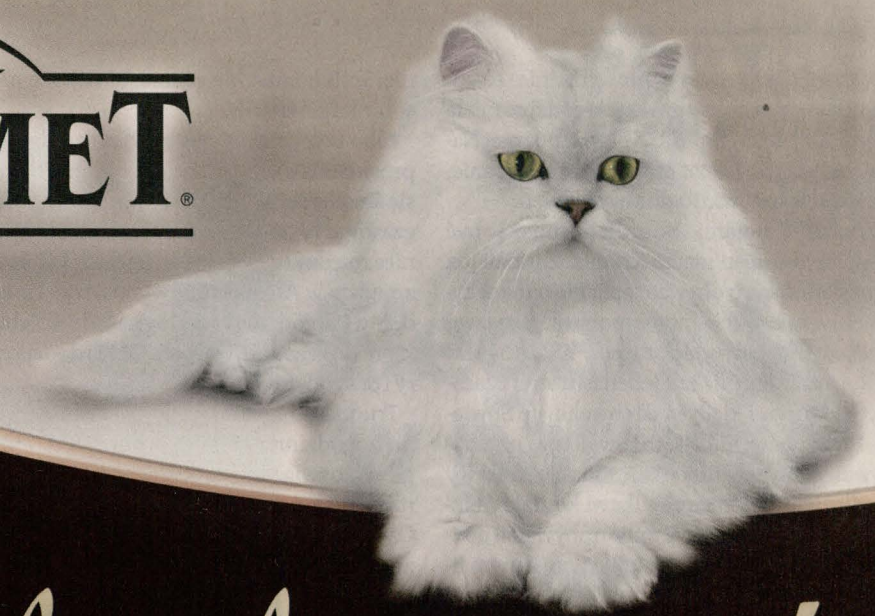
Pozostaje jeszcze „czarny poniedziałek”, czyli pierwszy roboczy dzień po zmianie czasu. To właśnie dziś, jeśli akurat trzymacie w rękach jeszcze ciepły „Przekrój”. Uważajcie więc na wszystkich zaspanych kierowców. Mogłoby się wydawać, że godzinna zmiana czasu to niewiele. Cóż to bowiem jest w porównaniu z ośmioma godzinami, o które trzeba przestawić organizm podczas podróży do USA? – Sęk w tym, że zmiana na czas letni dotyka nas wszystkich, również jednostki, które sygnalizują z dokładnością co do minuty – tłumaczy Stanley Coren, ekspert od snu z University of British Columbia. – Ci ludzie w „czarny poniedziałek” lądują w rowach, a nierzadko z zaburzeniami snu trafiają do psychologa.

Zwolennicy i przeciwnicy zmiany czasu mają więc swoje zestawy argumentów. Obie grupy potrafią być przekonujące. Tyle że od samego mieszania herbaty jeszcze nigdy nie stała się słodka – na razie nikt nie wymyślił, jak zatrzymać dłużej słońce na niebie. Chyba że w całym sporze chodzi o coś innego.

## Język, przestrzeń i czas

Francuski socjolog Pierre Bourdieu twierdził, że dla zachowania władzy najważniejsza jest kontrola trzech sfer: języka, przestrzeni i właśnie czasu. Ten ostatni element jest najważniejszy. Jednak czy można go kontrolować? Nic prostszego. Guzik, ustawa i lud wstaje wcześniej. Guzik, kolejna ustawa i lud śpi dłużej. Trudno zatem się dziwić, że jednym z pierwszych postanowień rewolucji →

PURINA  
**GOURMET**



Wielka loteria!  
losowanie co tydzień!

Wygraj!

  
Karnet jubilerski  
x40  
Karnet jubilerski 500zł



  
x800  
Wygodna sofa

x1600  
Elegancka miska



Kup jednorazowo produkty GOURMET za minimum 10 zł

Wyślij SMS z hasłem **GOURMET** i numerem paragonu na numer **70068**

Zachowaj paragon

Promocja trwa od 15.05 do 04.07.2011 r. Koszt SMS 0,50 zł netto (0,62 zł brutto). Regulamin promocji znajduje się na [www.fajne-promocje.pl/gourmet](http://www.fajne-promocje.pl/gourmet) oraz na

[www.gourmet-kot.pl](http://www.gourmet-kot.pl)



→ francuskiej było wprowadzenie 10-godzinnego dnia, w którym każda godzina miała składać się ze 100 minut. Kilka lat później Napoleon przywrócił 24-godzinne rozwiązanie, ale kazał ustanowić 10-dniowy tydzień.

Wielkimi fanami Bourdieu muszą być współcześni gospodarze Kremla. Zadbali już o język (mówią o obywatelach, nie o towarzyszach), przestrzeń (nowe pomniki i nazwy ulic), a teraz bawią się czasem. W 2010 roku w Rosji zniknęły dwie z jedenastu stref czasowych, którymi kiedyś tak chwalili się Sowietci. Prezydent Dmitrij Miedwiediew przekonywał, że usprawni to komunikację Moskwy z odległymi regionami i ułatwi kontakty biznesowe w kraju. Niemal milion obywateli podpisał petycję, sprzeciwiając się tym samym likwidacji ich stref czasowych, ale nic to nie dało. W planach jest dalsza redukcja stref. Nawet do czterech, czyli między innymi włączenie Kaliningradu do moskiewskiej strefy czasu (dziś to dwie godziny różnicy).

To jednak nic w porównaniu z ustawą czasową, o której debatuje właśnie rosyjska Duma. „Zarządzanie oficjalnym czasem leży w wyłącznych kompetencjach Federacji Rosyjskiej” – głosi jeden z jej artykułów. W innym miejscu prawodawca kategorycznie stwierdza, że „sekundy, minuty i godziny oraz wszystkie inne jednostki czasu są własnością rządową i nie mogą być sprywatyzowane”.

#### Jedne Chiny, jeden czas

– W tej zabawie często nie chodzi wcale o względy praktyczne – tłumaczy profesor John Stone, politolog z Uniwersytetu Bostońskiego. – Władcy zmieniają czas poddanym, bo mogą. To ich ślad w historii. W żaden inny sposób tak łatwo nie mogą wpłynąć na życie przeciętnego zjadacza chleba.

Dlatego właśnie tak wiele państw autorytarnych ma oryginalne „rozwiązania czasowe”. Gdy w 1949 roku w Chinach władzę przejęli komuniści, natychmiast wprowadzili jedną ogólnokrajową strefę w miejsce dotychczasowych pięciu. I tak na przykład najbardziej wysunięta na wschód chińska prowincja Heilongdżiang znalazła się w tej samej strefie co Tybet leżący blisko cztery tysiące kilometrów dalej na zachód, więc gdy słońce pojawia nad Heilongdżiang, w Tybecie jest środek nocy, ale wszystkie zegarki wskazują tę samą godzinę. Wspólny czas ma symbolizować jedność państwa i siłę władzy centralnej w Pekinie.

Jeśli komuś nie pasuje, to zawsze może sobie kupić latarkę.

Albo przejść się do Afganistanu. Jeden krok przez chińsko-afgańską granicę i z lunchu robi się śniadanie. To największy na świecie uskok czasowy. W dodatku niepełnogodzinny – różnica między czasem pekińskim a tym obowiązującym w Afganistanie wynosi trzy i pół godziny. Pół godziny to zasługa władz w Kabulu, które do czasu Greenwich (GMT) dodają cztery i pół godziny.

Trudna do racjonalnego uzasadnienia niepełnogodzinna różnica wobec GMT to typowe rozwiązanie w krajach autorytarnych, na przykład w Iranie, Birmie i na Sri Lance. Cztery lata temu do tej grupy dołączyła Wenezuela. Jej lider Hugo Chávez ogłosił, że dzie-

*Według dyskutowanej w Dumie ustawy sekundy, minuty i godziny oraz wszystkie inne jednostki czasu są własnością rządową i nie mogą być sprywatyzowane*

ki stworzeniu odrębnej, wenezuelskiej strefy czasowej (minus cztery i pół godziny w stosunku do GMT; sąsiedzi mają minus cztery) „nastąpi sprawiedliwsza dystrybucja światła” i biedne wenezuelskie dzieci nie będą już zaspiane przyjeżdżać do szkoły. Wenezuelskie dzieci nadal są biedne i zaspiane, mimo że Chávez rządzi już 12 lat. Ale zgodnie z zaletami Pierre’a Bourdieu zdążył już zmienić nazwę państwa, flagę narodową i godło.

#### Szkot staje okoniem

Chávez wciąż walczy z czasem. Jego najnowszy pomysł to zerwanie z Greenwich i akces do nowego systemu czasowego mierzonego od Mekki. Jego przyjaciele Saudowie, odkąd w latach 30. XX wieku zjednoczyli państwo pod swoim panowaniem, próbują wypełnić z innych państw muzułmańskich kolonialne należności. Z kalendarzem im się udało – dziś już w niemal wszystkich krajach tego obszaru urzędowo obowiązuje kalendarz islamski, według którego mamy rok 1432. Teraz po latach przyszedł czas na godziny. Od sierpnia 2010 roku w Mekce odliczanie czasu rozpoczął największy zegar świata. Wisi ponad 600 metrów nad najważniejszym meczetem islamu Al-Haram i Saudowie mają nadzieję, że w przyszłości zastąpi zegar w londyńskim

Greenwich jako punkt odniesienia czasowego dla wszystkich muzułmanów na świecie. To, że Chávez – tak jak przytłaczająca większość Wenezuelczyków – nie jest muzułmaninem, jest bez znaczenia. Szkoda byłoby stracić taką okazję na jakże symboliczne odcięcie się od świata zgniłego kapitalizmu.

Czas Greenwich przeżywa ciężki kryzys nie tylko z powodu Cháveza. Z GMT chcą zrezygnować nawet Brytyjczycy. Tamtejszy parlament debatuje właśnie nad nowym prawem turystycznym, w ramach którego Zjednoczone Królestwo zrezygnuje z GMT i dostosuje swój czas do tego, który obowiązuje w niemal całej Europie kontynentalnej, również w Polsce. Argumenty „za” są bardzo przekonujące – turyści nie będą wracać do hoteli o 6 po południu, ale godzinę później. Zdadzą więc jeszcze zobaczyć kilka zabytków i kupić bilety. Przy okazji zmiana czasu ułatwi życie biznesowi, który jest coraz bardziej związany z europejskimi rynkami.

Sprawa byłaby przesądzona, gdyby nie Szkoci. W propozycji widzą kolejny przejaw angielskiej okupacji. Przekonują, że przesunięcie wskazówek o godzinę do przodu skończy się tym, że zimą w wielu szkockich miastach świtać będzie dopiero o godzinie 10. Szkocki parlament zaproponował nawet oddzielną, szkocką strefę, ale Londyn nie chce o tym słyszeć.

#### Dwa zegary w pokoju

Być może dlatego, że Londyn słyszał o starym anglosaskim przesądzie – nigdy nie trzymaj dwóch zegarów w jednym pokoju, bo to przyniesie śmierć domownikom. Przecież niemożliwe jest, aby oba zegary wskazywały dokładnie tę samą godzinę, a przez lukę czasową między nimi ponoć uciekają dusze.

Poza tym jeśli zegary w pokoju pokazują różny czas, to co najmniej jeden z nich się myli. A to już podważa autorytet maszyny i przypomina nam, ludziom XXI wieku, budzącą niepokój prawdę, że czas to fikcja, na którą się umówiliśmy. Bo jeśli zmieniamy czas na letni, to przecież nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy zmienili na przykład długość metra. Dlatego domorośli zegarmistrzowie świata, którzy dziś na całym świecie i w Polsce chcą uszczęśliwiać swoich poddanych, „wydłużają” im dzień, niech się dwa razy zastanowią. Bo majstrują przy najważniejszym fundamencie fikcji, w której wszyscy żyjemy.



Doktor Michał Skalski, specjalista od zaburzeń snu, opowiada o tym, jak zmiany czasu wywołują bezsenność. Zobacz i posłuchaj na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

[www.porta.com.pl](http://www.porta.com.pl)

**PORTA DRZWI**

# Elegancja w naturze



natura bez kantu  
drzwi bezprzylgowe

Drzwi dostępne wyłącznie w sieci Autoryzowanych Dealerów Porta oraz w ponad 1500 współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży (APS).

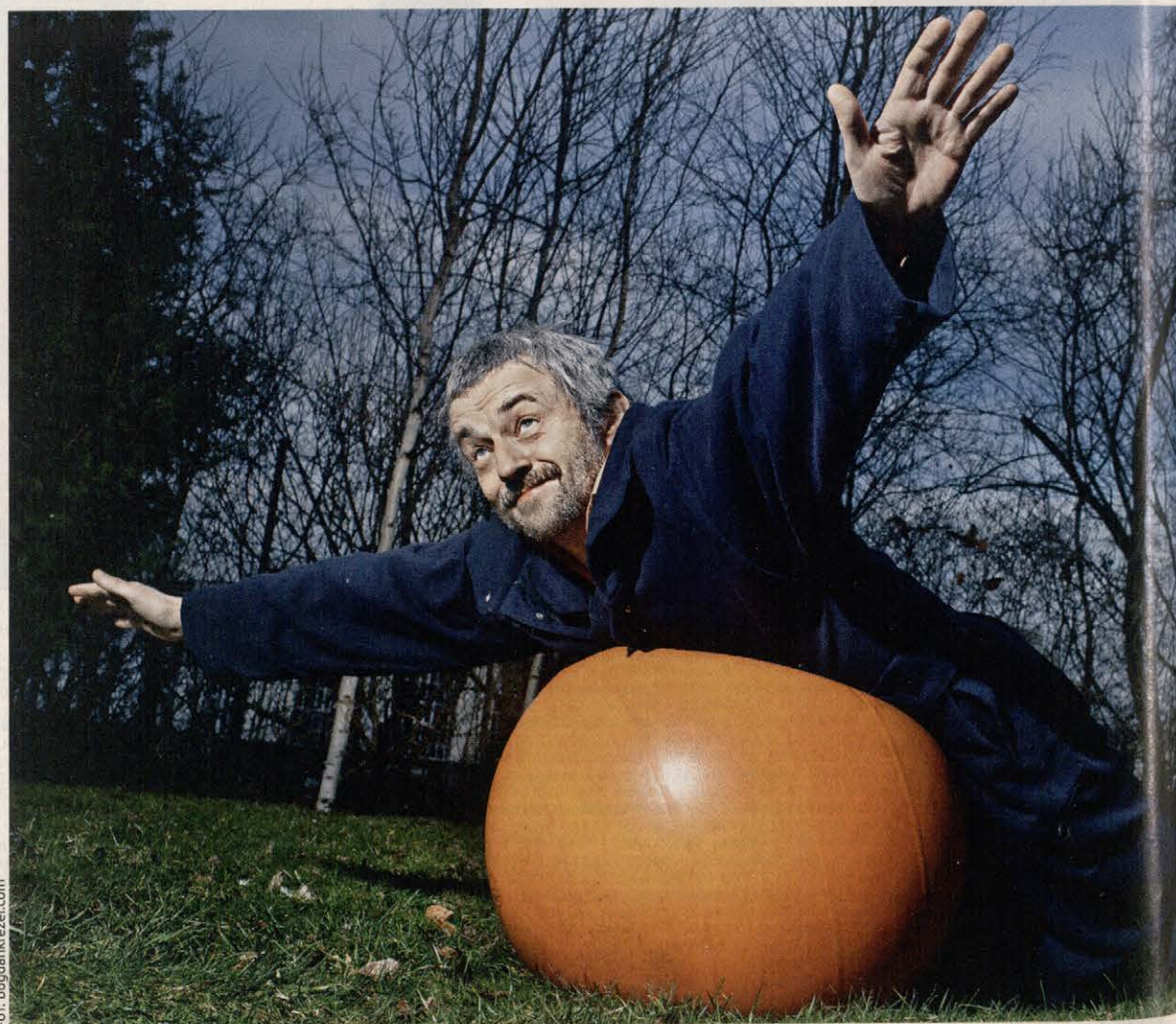
Belchatów Balsa 44 633 24 31 • Białystok AWRUK – STOLARKA BUDOWLANA 85 653 93 23 • Bielsko-Biała MTB JASIŃSKI 33 816 33 36 • Błonie CENTROBUD 22 731 81 53 • Bolesławiec JAWA 75 732 05 24 • Busko Zdrój FONTIS 41 378 80 45 • Bydgoszcz DRZWI – TESSA 52 364 67 00 • Bydgoszcz STALREM 52 346 55 23 • Ciecchanów WOODCOTE POLAND 23 672 56 36 • Czaplinek-Sikory P.P.H. M&G GRZEGORZ KOTŁOWSKI 94 375 47 56 • Czechowice Dziedzice MTB JASIŃSKI 32 215 50 49 • Częstochowa FACHOWIEC 34 360 22 40 • Elk MURBET 87 620 06 20 • Gdańsk BEL-POL 58 301 78 39 • Gdańsk STALREM 58 340 69 50 • Gdynia STOREM 58 668 46 87 • Gdynia WOODCOTE POLAND 58 663 84 00 • Gliwice BEL-POL 32 232 87 58 • Gliwice MAT – BUD 32 331 37 20 • Gorzów Wlkp. BEL-POL 95 722 73 19 • Gorzów Wlkp. STALREM 95 725 03 66 • Grudziądz EKSPOL 56 461 37 78 • Jastrzębie Zdrój HADEX 32 478 81 10 • Jelenia Góra BEL-POL 75 767 83 88 • Kalisz BEL-POL 62 753 67 21 • Katowice BEL-POL 32 252 86 91-92 • Katowice BUDUS Grupa PHMB 32 608 87 87 • Katowice WOODCOTE POLAND 32 202 50 30 • Kielce APOLLOPLAST 41 346 10 11 • Kielce BEL-POL 41 362 68 66 • Kielce FONTIS 41 362 72 41 • Kłodzko STOLPLAST 74 867 46 74 • Kolobrzeg WIK 94 351 64 18 • Koszalin SEZAM 94 342 54 46 • Koszalin TOM – SAN 94 343 54 88 • Kościan EFLI 65 511 95 66 • Kraków BEL-POL 12 417 39 46 • Kraków DREWEX 12 622 88 60 • Kraków HEBAN 12 651 87 62 • Kraków KONSTRUKTOR 12 420 00 12 • Kraków STALREM 12 264 72 25/26 • Kraków WOODCOTE POLAND 12 417 13 00 • Legnica BEL-POL 76 856 03 00 • Lubin BUDUS Grupa PHMB 76 844 39 90 • Lublin INTER GIPS 81 441 72 27 • Lublin PORTO 81 444 60 25 • Lublin WOODCOTE POLAND 81 745 38 46 • Łomża DW DOMEK 86 215 66 15, 86 215 42 22 • Łódź BEL-POL 42 676 76 36 • Łódź EKOCENTR 42 656 73 34/35 • Łódź MATERIAŁY BUDOWLANE 42 674 82 44 • Łódź STALREM 42 653 51 44/45 • Maków Mazowiecki CENTROBUD 29 717 13 48 • Nowa Sól BEL-POL 68 356 33 20 • Nowy Sącz BOGDAŃSKI 18 444 24 13 • Nowy Sącz TOMEX 18 444 11 27 • Olsztyn ALTADOOR 89 533 21 07 • Olsztyn D.P. 89 532 02 17 • Opole BEL-POL 77 454 42 33 • Opole WOODCOTE POLAND 77 402 44 40 • Ostrów Wielkopolski INTAR 62 737 51 48 • Płock BUD-MAT 24 268 65 04 • Płock PIK 24 268 99 66 • Poznań BUDOM MARKET 61 859 83 00/23 • Poznań C.B. PROGRESS 61 873 33 00 • Poznań EKO 61 815 03 44 • Poznań STALREM 61 846 08 60-62 • Przemysł MULTI-FORM II 16 678 48 31 • Pszczyna KRONODOM 32 738 77 77 • Puławy BEL-POL 81 888 03 49 • Radom FACHOWIEC 48 340 03 45 • Radom OKNO-BUD 48 381 17 95 • Rzeszów BOZ 17 850 51 33/34 • Rzeszów PORTO 17 853 27 15 • Rzeszów WEPA 17 864 22 80 • Sanok INSTAL – BUD 13 493 24 11 • Słupsk TOM – SAN 59 842 03 22 • Słupsk WOODCOTE POLAND 59 848 59 75 • Suwałki ALMAT 87 563 16 31 • Szaffary TOMEX 18 275 40 64 • Szczecin HIPER – GLAZUR 91 485 64 51 • Szczecin STALREM 91 484 73 99 • Szczecinek KPPD Szczecinek 94 372 95 55 • Świdnica BEL-POL 74 856 38 30 • Tarnów TRANSBUD 14 629 80 73 • Toruń DRZWI – TESSA 56 655 92 60 • Toruń MS PROFI 56 660 52 95 • Tychy MULTI-FORM II 32 227 27 27 • Wałbrzych BEL-POL 74 886 95 00 • Wałbrzych SIRBUD 74 666 88 88 • Warszawa CENTROBUD 22 756 72 36 • Warszawa CENTRUM DRZWI 22 651 03 50 • Warszawa SYKOMAT 22 840 42 57 • Warszawa TECHNOBUD 22 632 85 06 • Warszawa WOODCOTE POLAND 22 796 00 76 79 • Warszawa – Góraszka SYKOMAT 22 780 09 80 • Warszawa – Grodzisk Mazowiecki FACHOWIEC 22 724 35 91 • Warszawa – Łomianki TECHNOBUD 22 751 70 41-44 • Warszawa – Piaseczno SYKOMAT 22 750 68 66 • Warszawa – Pruszków FACHOWIEC 22 728 23 78 • Warszawa – Stara Iwiczna SYKOMAT 22 224 39 31 • Warszawa – Stara Miłosna SYKOMAT 22 773 38 81 • Warszawa – Stare Babice TECHNOBUD – ALSTAL 22 382 41 01 • Warszawa – Tarczyn CENTROBUD 22 727 87 67 • Warszawa – Ząbki SYKOMAT 22 781 55 06 • Wejherowo BEL-POL 58 672 30 51 • Wrocław MAJSTER ATLAS KUJAWY 54 412 66 21 • Wrocław BEL-POL 71 325 27 77 • Wrocław BUDUS Grupa PHMB 71 373 19 90 • Wrocław WOODCOTE POLAND 71 346 79 90-91 • Zamość METBUD 84 639 10 09 • Zielona Góra CeMBe 68 320 33 00





# Jako naród jesteśmy głupkowaci

Jan Paweł II nie był człowiekiem moralnym, za to moralny jest Jerzy Urban. Szwajcarzy są narodem wybranym, a Boga nie ma. Z rysownikiem **MARKIEM RACZKOWSKIM** rozmawia Grzegorz Miecugow



for: bogdankrezel.com

**Szykuje się pan na 10 kwietnia?**

- Zadał mi pan pytanie, które ja uwielbiam zadawać znajomym. Pytam ich: jak zamierzacie spędzić 10? Bo ja raczej w domu, w ciszy, w spokoju, z rodziną. Jest jeszcze jedno pytanie: a do Rzymu jak? Samolotem, pociągiem czy tylko w telewizji?

**To już mówimy o 1 maja.**

- No tak, ale to przecież następuje jedno po drugim. 10, 11, potem 1 - tyle nasz naród przeżywa silnych emocji. Patrząc na naród jak na taką dużą istotę, trochę głupkowatą. Widzę, jak na przykład się podnieca, bo jakiś poseł powiedział, że popatrzyliby na lesbijki. Tak sobie myślę, że naród ma takie chwile, kiedy się seksualnie podnieca, ożywia, potem nagle wzrusza się czymś ogromnie, następnie się obrusza, obraża na Grossa, potem się wzrusza jakąś rocznicą. Przeżywa bardzo intensywne uczucia bardzo różnego rodzaju.

**Dzięki temu ma pan pracę.**

- I pan też. Wszyscy mamy dzięki temu pracę. Mam zresztą wrażenie, że jedyną jeszcze możliwą formą publicystyki w naszym kraju jest jakiś rodzaj satyry.

**Pytam o 10 kwietnia nie bez powodu, bo mimo wszystko jest to chyba trudny moment dla rysownika.**

- A dlaczego trudny? Bo trzeba być ostrożnym?

**No tak.**

- To ja może przywołam Woody'ego Allena i jego definicję komedii. Jego zdaniem komedia to jest tragedia plus czas. W Polsce teraz potrzeba bardzo niewiele czasu, żeby tragedię zmienić w komedię, głównie dzięki PiS. Proszę sobie przypomnieć, ile czasu minęło od katastrofy do momentu, kiedy już nie wytrzymał. Kilka tygodni tylko. Na przykład Kuba Wojewódzki zaimponował mi piosenką: „Jarek, Jarek, po trupach, po trupach”.

**To była forma odreagowania.**

- No tak, ale to był też bardzo dobrze zrobiony kawałek muzyczny, bardzo dobrze sfilmowany, wymyślony. Było to po prostu perfekcyjne, chociaż jednocześnie mocne i brutalne.

**Nie wszyscy tak uważają.**

- Ale ja tak uważam. I tak uważają w zasadzie wszystkie osoby, które bywają u mnie w domu. Na tym zresztą polega tworzenie wokół siebie swego rodzaju środowiska. Po prostu jako bardzo zły i podły człowiek staram się otaczać podobnymi sobie kanałiami.

**No to jak będzie z tym 10?**

**Narysuje pan coś specjalnego czy obejdzie to bokiem?**

- Ja cały czas o tym rysuję. Kiedyś narysowałem dwie rozmawiające osoby. Jedna mówi: „No i co, mamy 20. rocznicę, a pamiętasz 8.?” „Pamiętam. Popatrz, to już 12 lat”. Pełno mamy rocznic. I rocznic rocznic. Prawdopodobieństwo wydarzenia się katastrofy w rocznicę katastrofy jest większe niż w zwykły dzień, więc to może z czasem nakładać się na siebie.

**Czy jesteśmy narodem wybranym?**

- Jak każdy naród.

**No nie, Szwajcarzy chyba nie są?**

- Oczywiście, że są. Są wyjątkowi, mają zdolność do zakładania banków. Mają też wyjątkowy kraj pod względem czystości i natury. →

Przewróć  
stronę...



→ **Ale słyszałem, że tam jest nudno.**

– Byłem tam i się nie nudziłem. No, ale rzeczywiście byłem tam krótko, tydzień.

**Przez tydzień to się człowiek nie wynudzi.**

– Nie wiem, czy można się nudzić w mieście, przez którego środek przepływa czysta rzeka, w której można sobie popływać.

**Nuda. Uprawianie satyry w takim kraju musi być męką.**

– Myślę, że w takim sytm kraju obiektem dla satyryka jest po prostu mieszczańskość.

**Albo rysowanie Mahometa.**

– To było akurat w Danii, ale w Danii pewnie też jest nudno.

**A pana nie interesują zagraniczne tematy? Nigdy sobie pan nie mówi:**

**tak mało się dzieje, to może narysuję coś o Niemcach?**

– Gdy myślę o zagranicznej karierze, na przykład w Ameryce, bo co jakiś czas rozważam możliwość zostania kolejnym Polakiem, który opublikował coś w „New Yorkerze”, i przeglądam swój dorobek, to naprawdę spora jego część po przetłumaczeniu na obcy język pasuje do wszystkiego. Nie wydaje mi się, że bym był aż tak polski w tym, co robię.

**A może to my, Polacy, jesteśmy uniwersalni?**

– Raczej jesteśmy nieustannie zajęci uniwersalnymi tematami. Na przykład spór wokół istnienia lub nieistnienia Boga dotyczy wszystkich ludzi.

**Tyle że akurat ten spór jest nierozstrzygalny.**

– Moim zdaniem jest rozstrzygalny – po prostu Boga nie ma.

**Jest nierozstrzygalny w tym sensie, że my specjalizujemy się w dyskusjach, które nie są poprzedzone definicją.**

– W tym sensie ma pan rację. Używamy ciągle słów „miłość”, „patriotyzm”...

...„in vitro”, „życie nienarodzone”...

– Poza tym stosujemy nazwy, które od razu oceniają. Na przykład dlaczego mówi się „małżeństwa homoseksualne”? Po jaką cholere używa się określenia „małżeństwo”?

**Zamiast powiedzieć „związek”.**

– Albo jakkolwiek inaczej. Albo dlaczego mówi się o kastracji chemicznej, a nie o farmaceutycznym obniżaniu popędu seksualnego? I to robić wy – telewizje.

**W przekazie telewizyjnym uproszczenie jest naturalne.**

– Ale uproszczenie polega na znajdowaniu prostego wzoru, na odrzucaniu nadmiaru. A tu mamy do czynienia raczej z minimalizmem. Upraszczenie jest ułatwianiem, uprzystępnianiem. Minimalizm jest raczej zaniechaniem.

**A pan nie minimalizuje?**

– W tym, co robię, staram się nie schlebiać gustom. Próbuje raczej bezwzględnie i odważnie wyrażać swoje uczucia i osady, nie bacząc na wszystkie związane z tym niebezpieczeństwa. Przy czym jest we mnie połączenie cynizmu z miłością do wszystkich bliźnich, nawet tych najgorszych.

**W panu jest takie połączenie?**

– Tak mi się wydaje. Ja po prostu bardzo kocham złych ludzi, nawet tych najgorszych.

**A kto to jest zły człowiek?**

– Na przykład pedofil. Dzisiaj oni są na pierwszym miejscu. Godzą w rodzinę i zagrażają dzieciom.

**No tak, a przecież dzieci są święte.**

– Gdybym był na Titanicu i ktoś rzuciłby hasło: kobiety i dzieci pierwsze idą do szalup, to wyszedłbym i zapytał: a właściwie dlaczego? Dlaczego akurat kobiety i dzieci, a nie na przykład ja, człowiek dojrzały już, ale jednak dowcipny, utalentowany, wykształcony, potrafiący tyle rzeczy robić? Bo ja potrafię nie tylko rzeźbić, rysować, malować, ale także grać na instrumentach, śpiewać, pisać do rymu i prozą. A dziecko przecież i tak pójdzie do nieba. Nawiasem mówiąc, zastanawiają mnie obrońcy nienarodzonych. Dlaczego tak zaciekle bronią tych zarodków, które przecież idą prosto do nieba. Nie rodząc się, nie znajdując się w tej niebezpiecznej sytuacji grzeszenia i pójścia do piekła.

**Wróćmy do naszej rzeczywistości. Jest pan jej beneficjentem?**

– Materialnie tak. Moralnie niestety nie.

**Dlaczego moralnie nie?**

– Musielibyśmy najpierw zdefiniować moralność. Ja uważam, że jestem człowiekiem moralnym, ale uważam też, że Jerzy Urban jest człowiekiem moralnym. Natomiast Jan Paweł II nie był człowiekiem moralnym.

**Dlaczego?**

– Wystarczy przeczytać książkę księdza Bartosia „JPII – analiza krytyczna”, w której punkt po punkcie wszystko jest wyliczone. Niedawno słyszałem taką rozmowę, w której na argument, że wszystkie najwięk-

sze afery seksualne w Kościele wybuchły podczas pontyfikatu Jana Pawła II, obrońca papieża powiedział, iż być może papież o tym nie wiedział, może go oszukiwano. Tak samo mówiono w carskiej Rosji. Car jest dobry, tylko wokół niego są źli urzędnicy. Gdyby car wiedział, to coś by zrobił. A ja myślę, że Jan Paweł II wiedział, tylko lawirował.

**A w jakim sensie moralny jest Jerzy Urban?**

– W takim, że po prostu zawsze wali prawdę. W takim sensie dla mnie człowiek moralny to taki, którego nie można obrazić, człowiek pozbawiony honoru i mówiący to, co myśli.

**To, co uważa za prawdę, bo niekoniecznie musi mówić prawdę.**

– Prawda jest zawsze subiektywna.

**Zwłaszcza kiedy popatrzy się na historię. Po 50 latach nagle coś, co wydawało się szlachetne, przestaje takie być.**

– No tak, tego doświadczamy. I to jest często bolesne i trudne. Ale na pewno nie jest bolesne dla mnie to, że Gross napisał kolejną książkę. Nie rozumiem w ogóle tego sposobu dyskusji na ten temat, nie rozumiem stwierdzenia, że to jest bolesne dla Polaków, że to jest rzecz, do której muszę się jakoś odnieść, a najlepiej oburzyć.

**Bo to jest lustrzane odbicie jednego uogólnienia przez inne uogólnienie.**

– Ale jak bronić się przed uogólnieniem? Innym uogólnieniem.

**Nie, trzeba się bronić tym, żeby w ogóle nie stosować uogólnień. Nie można powiedzieć, że Polacy są fantastyczni, i nie można powiedzieć, że Polacy to zbrodniarze. To są zdania bliźniaczo podobne.**

– Mam wrażenie, że jednak Gross – być może przesadzając – próbuje powiedzieć Żydom, żeby nie dali się oszukać, że Polacy się zmienili.

**A nie zmienili się?**

– Nie wiem, trzeba by pojechać gdzieś na Dolny Śląsk i pochodzić po jakichś popegeerowskich wioskach. Przyjrzeć się temu wszystkiemu. Albo pójść na stadion. To wszystko gdzieś tam się tli pod tym torfem rzeczywistości, tli się cały czas coś obrzydliwego. Ja to czuję.

**A nie widzi pan różnicy między sobą 20-letnim a swoimi córkami?**

– W jakim sensie?

**Podejścia do życia, oglądu rzeczywistości, otwartości na świat. Nasze dzieci podróżują, znają języki. To nie jest przełomowa zmiana?**

– Myśli pan, że jeżdżenie za granicę jest dla człowieka aż tak ważne?

**Poznanie innych ludzi, innej kultury ma jakieś znaczenie.**

– Ja nie uważam, żeby to było aż tak ważne. Świat mnie trochę rozczarował – w tym sensie, że właściwie ucieszył, iż wszędzie jest tak samo. To jest mit, że są różnice między nami. Na przykład jest taki animowany film „Persepolis”. Zrobiła go Iranka. Opowiada on o inteligentach z dużego miasta, którzy są po prostu przerażeni wojną. I oni są tacy sami jak my w latach 80. – drukujący jakieś gazetki, konspiracyjny, przerażeni, narażeni na przemoc tego prostackiego aparatu przemocy. Widzę po prostu, że to są tacy sami ludzie jak my, wszędzie, bez względu na rasę, wyznanie, religię. Albo na przykład „Ciotka Julia i skryba”, książka Llosy. Lata 50., Lima, która jest jak Warszawa Tyrmanda. Czytam to i wiem, że gdzieś tam, na drugiej półkuli ludzie są tacy sami jak my. To jest niesamowite, że wszyscy mają to samo. Głupich polityków, durne wybory i telewizję, a w niej „Szkło kontaktowe”...

**„Szkła” nie mają.**

– To mają coś w tym rodzaju.

**Świat się zmienia czy nie?**

– Świat się zmienia, i to na lepsze, moim skromnym zdaniem.

**W czym na lepsze?**

– Na przykład nie ma kary śmierci.

**Chociaż ludzie jej chcą.**

– A niech sobie chcą. Ludzie zawsze chcą czegoś złego. Świat się zmienia, czego często nie zauważamy. Bo to jest tak, jak byśmy wspinali się do góry po gwincie śrubki. Po każdym kółku wydaje nam się, że jesteśmy w tym samym miejscu, ale wnikliwy obserwator dostrzega jednak te drobne różnice, które często mają skalę ewolucyjną.

**To zmiana to także nowe technologie. Ja się jakoś przed nimi bronię. Pan nie.**

– Mam taką wizję świata, w którym tak jak dziś badamy cud mózgu człowieka czy też ciała ludzkiego, tak naukowcy zaczną badać cud komputera. Tak jak korzystam ze swego mózgu, tak korzystam z iPada. Nie muszę wiedzieć, jak on działa.

**Ale czy to wprowadza nową jakość do pana pracy?**

– Dzięki iPadowi zacząłem robić rysunki, które się ruszają. Przyzna pan, że między ruszającym się a nieruszającym się rysunkiem jest kolosalna różnica. Mając możliwość poruszania postaciami, mogę cały swój dorobek twórczo przerobić. Znów wrócę do śrubki. Niby zajmę się pomysłem, którym już kiedyś się zajmowałem, ale będzie to już w zupełnie innym miejscu.

**I będzie to coś o 10 kwietnia?**

– Być może.

Na pewno nie stanę z boku.



Miecugow – Raczkowski pokazujemy to, co nie poszło do druku. Zobacz i posłuchaj na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

...tak szybko, jak przewracasz stronę, możesz płacić zbliżeniową kartą Visa.



Żyje się lepiej. Visa





# Obiad przyszłości

Pożegnaliśmy już XIX-wieczną koncepcję kotletów w pigułce. Dziś możemy posmakować chmur o smaku tarty cytrynowej, a w przyszłości być może jeden posiłek wystarczy na całe życie

MAGDALENA TOMKOWICZ

**S**piesząc się, przygotowujesz śniadanie. Kroisz pieczywo, ser, wstawiasz jajka. Połowa poranka zesłała ci na krzątaniu się po kuchni. A gdyby tak móc po prostu wcisnąć guzik i powiedzieć: „Dwa jajka na miękko, bruschetta na ostro, zielona herbata z miodem i cytryną”?

Za kilka, kilkanaście lat, kiedy na rynek trafią pierwsze narzędzia cyfrowej gastronomii, stanie się to możliwe. Nie będą to jeszcze znane ze „Star Treka” replikatory syntetyzujące dania na podstawie ich struktury atomowej, bo na początek upichcą coś ze zmagazynowanych składników. Na tej zasadzie działają już pierwsze kulinarne drukarki. Homaro Cantu, światowej sławy kucharz, serwuje w swoich restauracjach drukowane potrawy, między innymi sushi - nadrukowuje smakowe tusze na jadalny papier z soi i całość zwija tak, by powstało coś na kształt tej potrawy. Zapowiada jednak eksperymenty z prawdziwym drukiem trójwymiarowym.

Jego pomysł podchwycili naukowcy z Cornell University w Nowym Jorku. Zbudowali prototypową drukarkę, której działanie opiera się na systemach druku przestrzennego. Maszyna warstwa po warstwie nakłada jadalne „tusze”: masę ryżową, pastę rybną, wasabi. W ten sposób zgodnie z zaprogramowanym projektem powstaje przestrzeny posiłek, który może mieć nieoczekiwany kształt i strukturę. Trzeba tylko pamiętać, by przed deserem wymienić drukujące głowice. Cantu uważa, że taka technologia może być wykorzystywana w załogowych misjach kosmicznych czy w walce z głodem na ziemi. Młodzi inżynierowie z MIT (Massachusetts Institute of Technology) tworzący Fluid Interfaces Group pracują nad projektem Cornucopia (Róg obfitości) - grupą urządzeń,



**Kuchnia molekularna:** homogenizatory, liofilizatory, destylatory próżniowe, zamrażarki azotowe. Makłowicz by tego nie wymyślił

które mają uwolnić nas od kuchennej rutyny. W MIT działa już prototyp cyfrowej cukierni Jamiego Zigelbauma i Marcelo Coelho. Docelowo urządzenie ma łączyć się z siecią, by użytkownicy mogli pobierać przepisy z internetu lub wymieniać się pomysłami.

### Kuchenne laboratorium

Z punktu widzenia fizyki przygotowanie posiłku sprowadza się do kilku podstawowych procesów: mieszania, suszenia, nasycania, rozpraszania, podgrzewania, którym poddawane są substancje w większości składające się z wody. Z taką perspektywą do kuchni

weszli kilka lat temu naukowcy. I namieszali: jajka i dżemy określili jako żele, ubijanie białek nazwali rozpraszaniem gazu w żelu poprzez spienianie, a tradycyjne receptury sprowadzili do matematycznych równań. Kuchnię zaś zamienili w laboratorium. Wstawili do niej homogenizatory, liofilizatory, parowe piekarniki, destylatory próżniowe, azotowe zamrażarki. A to tylko niektóre urządzenia, z których korzystali Nathan Myhrvold, Chris Young i Maxime Bilet, kiedy pisali książkę „Modernist Cuisine - The Art and Science of Cooking” (ukazała się w marcu).

Myhrvold, po doktoracie z ekonomii matematycznej i fizyki teoretycznej zrobionym w Princeton, pracował w Cambridge nad kwantowymi teoriami grawitacji z samym Stephenem Hawkingiem. Przez wiele lat był jednym z głównych inżynierów Microsoftu. Z połączenia zawodowych doświadczeń i pasji gotowania powstało opus magnum nowoczesnej kuchni. Kuchmistrz erudyta dowiódł się z niego o pracy mięśni, mikrobiologii, zasadzie zachowania energii, emulsjach, żelach, pianach i pozna przepisy przekraczające granice wyobraźni. To z laboratoriów *modernist cuisine* pochodzą sosy z kryształkami zmrożonej ciekłym azotem oliwy, zupy zmieniające swoją temperaturę w ustach, żelowe makarony, małże w przezroczystych sferach z własnego soku, galaretowate bąble zielonej herbaty, bezzajeczny majonez czy dania i napoje w postaci chmur. Jeśli coś ci to przypomina, to bardzo dobrze - *modernist cuisine* to właściwie inna nazwa kuchni molekularnej. Problem w tym, że wielu szefów kuchni odżegnuje się od tego określenia, bo nie chcą być kojarzeni z osiągnięciami kolegów.

Napojów w postaci chmur będziemy mogli skosztować we własnym domu już tej jesieni - zapowiada David Edwards, profesor Uniwersytetu Harvarda i założyciel paryskiego Le Laboratoire. To niezwykła instytucja, w której goście nie tylko oglądają ekspozycje nauki i sztuki, ale

też uczestniczą w procesie ich powstawania. Edwards wpadł na pomysł serwowania dań w postaci chmur. Jego wynalazek Le Whaf pozwala podać w ten sposób właściwie każdą potrawę. Ze szklanej misy wypełnionej odżywczymi oparami można się zająć, wdychając chmurkę przez słomkę. Porcje można też wdmuchnąć do kieliszków. Wciąganie (*whiffing*) przez 10 minut tarty cytrynowej daje około 200 kalorii. Le Whaf umożliwia też przygotowanie napojów, także alkoholowych (wdychanie mokrych cząstek to z kolei *whaffing*). Urządzenie ma kosztować 135 dolarów. Nie wiadomo jeszcze, ile trzeba będzie wydać na mglisty obiad.

### Parówki z próbki

Jednak kuchenna rewolucja technologiczna to nie tylko fanaberia bogatych. Produkcja żywności truje naszą planetę bardziej niż wszystkie środki transportu. Grozi nam też widmo powszechnego głodu. Niedawno pisaliśmy o wegetariańskiej wizji przyszłości, ale na razie całkowita rezygnacja z mięsa to czysta fantazja. Złotym środkiem może

okazać się hodowanie mięsa in vitro w laboratoriach.

Takie mięso ma mnóstwo zalet: jego produkcja nie zanieczyszcza środowiska, jest wydajne i zdrowe (nie wymaga genetycznych modyfikacji), jest →

## Płatność zbliżeniową kartą Visa trwa krócej niż sekundę.

Szybko i wygodnie – bez szukania drobnych lub czekania na wydanie reszty.



Przyłóż zbliżeniową kartę Visa do czytnika. Jeden biip i zapłacone.



www.visa.pl



→ wolne od wirusów i pasożytów), zawiera mniej cholesterolu. Można zmieniać jego konsystencję i wartości odżywcze. Poza tym nie naraża ofiar na cierpienia. Walcząca o etyczne traktowanie zwierząt organizacja PETA obiecała milion dolarów za pierwszy w pełni wartościowy komercyjny mięsny produkt in vitro.

Laboratoryjne farmy już od 10 lat pracują nad rybami i kurczymi filekami (projekt Morrisa Benjaminsona z Touro College w Nowym Jorku), wieprzowiną (Mark Post z Technische Universiteit Eindhoven i Henk Haagsman z Universiteit Utrecht), podejmowane są też próby z wołowiną. Vladimir Mironov, szef Shared Tissue Engineering Laboratory w Medical University of South Carolina w Charleston specjalizujący się w owocach morza i drobiu, wierzy, że w przyszłości każdy będzie mógł wyhodować sobie w domu kiełbaskę.

Ale na pierwsze krwiste, choć bezkrwawe, wyroby i podroby musimy poczekać: hodowcy borykają się z teksturą i smakiem – kluczowymi właściwościami mięs. W cierpliwość muszą też uzbroić się miłośnicy steków. Choć mięsożercy wołają o tym nie pamiętać, mięso to żywe ciało kształtowane przez ruch, pokarm, tlen i składniki odżywcze do-

starczane naczyniami krwionośnymi. Mięso laboratoryjne natomiast to kolonia komórek pobranych z żywego zwierzęcia i namnażanych w pojemnikach w medium zwierzęcego lub roślinnego pochodzenia. W takich warunkach na razie udaje im się osiągnąć konsystencję galarety. Przy pewnych ulepszeniach otwiera to możliwości produkcji burgerów i innych mielonych wyrobów. Wyzwaniem jest wytworzenie żywych włókien mięśni. Naukowcy pokładają nadzieję w bioreaktorach symulujących naturalne procesy zachodzące w organizmie. Jeśli im się uda, będą musieli poradzić sobie z ceną – wyhodowanie 250 gramów mięsa kosztuje dziś milion dolarów.

### Elektrownia w pigułce

Trudno nie uśmiechnąć się na wspomnienie pigułki, która miała zastąpić dzienną porcję jedzenia. Według Marcellina Berthelota, XIX-wiecznego futurysty, już od 10 lat powinniśmy być niezależni od rolnictwa. Choć szczęśliwie kotlet w pigułce nam nie grozi, to kapsułkowe koncepcje wciąż krążą naukowcom po głowie.

Pojawił się nowy pomysł – kapsułka energetyczna. Zawarte w niej napędzane radio-

aktywnym izotopem gadolinu Gd-148 nanoroboty dostarczałyby energię bezpośrednio do komórek, eliminując potrzebę jedzenia. Autorem tego kontrowersyjnego pomysłu jest poważny naukowiec Robert Freitas z Institute for Molecular Manufacturing w Palo Alto w Kalifornii. Zasilane gadolinem roboty musiałyby być bezpieczne, by przekazywać komórkom potrzebną energię, nie napromieniowując ich. W tym przypadku słowo „robot” nie odnosi się do metalowych minimaszyn i obwodów elektronicznych, ale raczej do niesprecyzowanych jeszcze jednostek zaprogramowanych do wykonywania złożonych funkcji w ludzkim organizmie. Przy 75-letnim okresie rozpadu pierwiastka jedna dawka wystarczyłaby na kawał życia człowieka przyszłości. Witaminy i minerały niezbędne do odżywienia i regeneracji organizmu Freitas proponuje uzupełniać... odżywczymi pigułkami.

A kiedy już jedzenie przestanie być koniecznością, domowa fabryka zaspokoii najdłuższe kulinarne fantazje, sumienia zaś nie będą dręczyć wizje rzeźni i wyjąłowanej ziemi, będziemy mogli spokojnie zająć się tym, co naprawdę przyjemne – spokojnym, niespiesznym przygotowywaniem pysznej jajecznicy. ●

REKLAMA



**GDAŃSK**  
www.gdansk.pl

**GDAŃSK 2016**



**Gdańsk**  
29 kwietnia  
-1 maja 2011

**SIESTA**  
FESTIVAL

Filharmonia Bałtycka, 29.04.2011

**Souad Massi**

Filharmonia Bałtycka, 30.04.2011

**Sara Tavares**

Filharmonia Bałtycka, 1.05.2011

**Anna Maria Jopek**  
**Gil Goldstein**  
**Gonzalo Rubalcaba**  
**i Przyjaciele**

Miasto Aniolów/Barka

**Pedro Moutinho**

**Yami** Klub Parlament

Bilety:  
www.ticketpro.pl  
www.eventim.pl  
www.biletyna.pl

Partner strategiczny:  
**Polska Filharmonia Bałtycka**  
im. Fryderyka Chopina w Gdańsku

**www.siestafestival.pl**

Wydawnictwo Przekrój



**KRAKOWSKI**  
**KREDENS**  
TRADYCJA GALICYJSKA



[www.krakowskikredens.pl](http://www.krakowskikredens.pl)



## TEŻ PYTANIE



Zaskakujących pytań ciąg dalszy! Czekamy na więcej! Jeśli coś ciągle cię nurtuje, pisz na adres [nauka@przekroj.pl](mailto:nauka@przekroj.pl). Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę

URSZULA DĄBROWSKA



### Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolenie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;  
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa

### 1. Co nam burczy w brzuchu, gdy jesteśmy głodni?

Tak naprawdę w brzuchu burczy nam znacznie częściej, niż to słyszymy. A dźwięki dobiegają nie tylko z pustego żołądka (jak większość z nas sądzi), ale także z jelita cienkiego. I rzeczywiście są cichsze, gdy jesteśmy najedzeni. Czemu? Bo pokarm tłumi je jak poduszka przyłożona do głośnika. Ale jak te odgłosy właściwie powstają? Cóż, nie ma co ukrywać – mechanizm burczenia niewiele różni się od puszczania gazów. W obu przypadkach, aby z ciała wydobył się dźwięk, potrzeba dwóch rzeczy. Pierwsza to powietrze, druga – elastyczny, wąski otwór. Gdy gaz gwałtownie przeciska się przez ujście, wprawia jego ścianki w drgania. To samo, co zachodzi

na końcu przewodu pokarmowego, dzieje się również w jego środkowym odcinku. O gazy w nim nietrudno – część z nich to po prostu powietrze, które połykamy wraz z pożywieniem. Reszta wydziela się w czasie trawienia. Trochę wypuszczamy z siebie górą, gdy nam się odbije. Większość jednak jest przepychana podobnie jak jedzenie z żołądka do jelita cienkiego, a potem grubego. Jak? Odpowiadają za to ruchy perystaltyczne. Są to skoordynowane skurcze mięśni, które okalają przewód pokarmowy. Gdy jesteśmy głodni, zamiast pokarmu mamy w brzuchu jedynie trochę powietrza. Niekiedy skurcze w jednym miejscu wywierają na nie ciśnienie w taki sposób, że gaz przeciska się przez ściśnięte dalej (lub wcześniej) ścianki jelita. I właśnie wtedy burczymy.



### 2. Dlaczego ludzie rozdrapują swoje rany? Czy nie jest to wbrew ewolucji?

Wbrew pozorom nie tylko dzieci mają skłonność do zdzierania strupków. Wielu dorosłych robi to samo, jeśli rozum nie pokona odruchu. Rzeczywiście nie jest to rozsądne zachowanie, gdy zależy nam na szybkim zagojeniu się rany i małej bliznie. Ale nie jest też ono wbrew naturze. Po prostu traktujemy zakrzepłą krew jak ciało obce i staramy się je usunąć. Ten sam mechanizm chroni nas

przed pasożytami skóry. Jeśli jakiś się pojawi (i na przykład wgrzyzie w ciało), odruchowo próbujemy się go pozbyć. W przypadku rany dochodzi jeszcze jeden aspekt – zasychający strupek kurczy się i naciąga skórę wokół niej. To wywołuje swędzenie i dyskomfort. Stąd pragnienie usunięcia zawady. Czasem to uczucie przechodzi w stan chorobowy i staje się kompulsywne (czyli o podłożu nerwowym). Wtedy mamy do czynienia z zaburzeniem podobnym do obgryzania paznokci czy bezwolnego machania nogą.

### 3. Skoro diament jest najtwardszym materiałem na Ziemi, to czym jest cięty, szlifowany i polerowany?

Głównie innym diamentem. Jedynie pierwsze cięcie może się bez niego obyć, bo przypomina raczej rozłupywanie. Wydobyt kamień ma zwykle nieregularny kształt i musi być podzielony na mniejsze fragmenty. Jubiler szuka skaz lub miejsc, gdzie kamień jest słabszy. Jeśli takich nie ma, sam robi potrzebną rysę (laserem lub diamentem). Przykłada do niej ostrze noża (ze stali) i uderza w nie młotkiem. Zdarza się, że może

przy tym nieuważnym ruchem zniszczyć cały kamień. Bardziej precyzyjne cięcia wymagają innego podejścia. Używa się do nich specjalnych jubilerskich pił obrotowych. Są one zbudowane z twardych i wytrzymałych stopów metali, ale tak naprawdę ich właściwości tnące zależą od diamentowego smarowidła. Co to? Olej zmieszany z drobinami kamienia szlachetnego. Podobnie jubilerzy szlifują i polerują klejnoty – w tym celu używają diamentowego piasku. Co ciekawe, te metody w gruncie rzeczy nie zmieniły się od ponad czterech wieków.

FOR: ISTOCK

## KTO TO POWIEDZIAŁ?



# Majówka na lodowcu

[zillertalinfo.pl](http://zillertalinfo.pl)



The Polish **Pow(d)er** XI Week in Hintertux

30.04-7.05.2011

### Codziennie bezpłatnie na lodowcu:

ski & snowboardtest sezonu 2011/2012  
skiguiding z polskimi instruktorami  
przedszkole dla maluchów  
konkursy  
polskie granie z polskim DJ-em

### Program popołudniowo-wieczorny:

Niedziela, 1.05  
\* ognisko powitalne  
Poniedziałek, 2.05  
\* Nordic Walking  
\* koncert Małgorzaty Ostrowskiej  
Wtorek, 3.05  
\* trening przed zawodami  
\* turniej tenisa stołowego  
\* dyskoteka  
Środa, 4.05  
\* zawody narciarsko-snowboardowe o Puchar Świstaka  
\* koncert grupy Cree  
\* w przerwie rozdanie nagród i losowanie vouchera  
Czwartek 5.05  
\* koncert grupy Golden Life  
Piątek, 6.05  
\* relaks w świecie wodnym Erlebenistherme

Sponsor główny

PLAY

Partnerzy medialni

onet.pl tvn meteo

Partnerzy



Organizatorzy



Więcej informacji szukaj na stronie [www.zillertalinfo.pl](http://www.zillertalinfo.pl)



# 3D już nie jest be

Do wyznawców trzeciego wymiaru dołączyli właśnie najwięksi twórcy autorskiego kina: Scorsese, Wenders i Herzog. W 3D będziemy niebawem oglądać nie tylko spektakularne widowiska, ale także dokumenty i klasyczne fabuły. Na naszych oczach kino dwuwymiarowe odchodzi do lamusa

KAROLINA PASTERNAK  
MALGORZATA SADOWSKA



Poszły konie po betonie, a Sławomir Idziak łapie to w 3D na planie „Bitwy Warszawskiej 1920”

FOT. Glinka Agency

of Tintin: The Secret of the Unicorn”) i Jacksona („The Hobbit”), a także wybitnych twórców z Europy: Wendersa, Gondry’ego i Herzoga.

## Nowy wymiar tańca

Na ostatnim festiwalu w Berlinie trójwymiar miał swój dzień. I bynajmniej nie był to dzień z robotami czy awatarami. Werner Herzog i Wim Wenders pokusili się o wykorzystanie technologicznej rewolucji w swoich nowych dokumentalnych projektach. Podobnie Michel Ocelot, słynny francuski animator, który pokazał w konkursie „Les Contes de la Nuit” (pierwszy film w 3D w konkursie Berlinale!). To mistrzowsko zrealizowana produkcja dla dzieci, w której Ocelot użył trójwymiaru, by... wrócić do tradycji, do teatru cieni, starych dobrych wycinanek. Efekt jest fantastyczny, choć zachwyty z czasem ustępują miejsca znużeniu, co jest wciąż typowym doświadczeniem z 3D. Zauroczenie szybko mija i chciałoby się wreszcie historii, prawdziwej głębi. Krótko mówiąc: tego, czego nie była w stanie zaoferować żadna produkcja w 3D. Aż do premiery „Piny”.

Wenders od lat czekał na właściwą technologię, by zrealizować film z legendarną tancerką i choreografką Piną Bausch. Po jej nagłej śmierci w 2009 roku stało się jasne, że powstanie dokument o niej czy może raczej dla niej. „Pina” (zostanie pokazana na Era Nowe Horyzonty) jest hołdem złożonym założycielce teatru z Wuppertalu przez jej uczniów, hołdem złożonym przez taniec. „3D jest stworzone do pokazywania tańca” – przekonywał w Berlinie niemiecki reżyser. I każdy, kto widział film, zgadza się z nim w stu procentach. Technologia sprawiła, że przysł dystans. Czuliśmy się jak w teatrze, blisko artystów. „Pina” pozwala niemal fizycznie poczuć taniec, podążać za każdym ruchem. To dowód, że trójwymiar to nie tylko efekt, ale też szansa, a sposób jej wykorzystania zależy wyłącznie od kreatywności twórcy.

Werner Herzog podszedł do 3D pragmatycznie. Jego „The Cave of Forgotten Dreams” to podróż do wnętrza niedostępnej dla zwykłych śmiertelników, położonej na południu Francji jaskini Chauveta, gdzie znajdują się najstarsze znane ludzkości rysunki naskalne pochodzące sprzed około 30 tysięcy lat. Trójwymiar sprawia, że możemy nie tylko w pełni docenić kunszt nieznanych artystów, ale też poczuć się, jakbyśmy brali udział w spacerze po grocie. „The Cave...” (będzie na festiwalu Planete Doc) to przykład wykorzystania technologii do celów edukacyjnych.

Do tegorocznego Berlinale granica wydawała się jasna: prorokowaliśmy, że 3D będzie służyć do produkcji wielkich hollywoodzkich widowisk, 2D – dobrego „artystycznego” kina. Dokumenty Wendersa i Herzoga oraz skromna francuska animacja pokazały, że sztuczny mur między starą a nową technologią zaczął się walić, zanim na dobre stanął.

## Dobre, bo tanie

– Trójwymiar ma olbrzymią szansę w bardzo krótkim czasie stać się domeną nie tylko hollywoodzkich gigantów, ale także mniejszych producentów i ludzi młodych, debiutujących w branży – mówi wybitny operator Sławomir Idziak, autor zdjęć do „Bitwy Warszawskiej 1920”, pierwszej polskiej produkcji w 3D. – Kręcąc film w trzecim wymiarze, zwiększamy swoją szansę na sukces. Każdy film zrobiony w technologii stereoskopowej można emitować zarówno w 2D, jak i w 3D! Wszędzie na świecie powstają kina przygotowane do emisji filmów 3D, kanały telewizyjne 3D, telewizory 3D. Materiał na te wszystkie urządzenia będzie za chwilę najbardziej poszukiwanym w branży – dodaje. – A budowa →

REKLAMA

**FREE SKI  
LAST MINUTE**

**Madonna di Cam-  
piglio (I)** Residence  
Ambiez 3\* basen, od  
1090 zł/os. **Livigno  
(I)** Hotel Original Gallis  
3\*HB od 1750 zł/os.  
**Tonale 1800 (I)** Apt.  
Palace 3\* w Ponte di  
Legno, od 670 zł/os.

+ samolot z Warszawy LOT Charters do Werony 1190 zł/os.  
+ 0, lub autokar od 395 zł/os. Obiekty również w Austrii,  
Francji i Szwajcarii, ww. oferta z 6 dniowym karnetem

801 326 026  
**alpytravel.pl**  
ski 2003  
100% otium

Rewolucja na miarę pojawienia się w kinie koloru i dźwięku czy jarmarczna sztuczka? Przełomowe narzędzie czy irytująca nowalijka? Przyszłość X muzy czy desperackie próby ściągnięcia widzów do kin? Wojna przeciwników 3D z jego zwolennikami trwa. Ci pierwsi mobilizują siły przed finałowym starciem. Bo jak inaczej, jeśli nie inwazją trójwymiaru, nazwać to, co czeka nas w 2011 roku? Trzecia część „Transformers”, czwarta „Piratów z Karaibów”, finał „Harry’ego Pottera”, „Green

Lantern”, „Thor” czy wreszcie polska „Bitwa Warszawska 1920” – to zaledwie kilka tytułów, które zobaczymy w 3D. Liczba filmów nakręconych w trzecim wymiarze (ponad 30 premier tylko w tym roku!) i pozycje zajmowane przez nie w światowych zestawieniach box office’u (w 2010 roku zajmowały trzy pierwsze miejsca) sugerowałyby, że w wojnie o 3D szala zdecydowanie przechyliła się na stronę zwolenników technologii. Jednak do niedawna wcale nie było pewne, czy zdoła ona stać się miejscem w kinie.

„Nie ma w tym nic nowego. To tylko stary sprawdzony trik. 3D nigdy nie było przyszłością kina. To jest, była i zawsze będzie jego przeszłością” – pisał przed rokiem dziennikarz brytyjskiego „Observera” Mark Kermode. W tym samym czasie ukazał się manifest innego cenionego krytyka. „Dlaczego nie nawidzę 3D (i wy też powinniście)” – zatytułował swój artykuł w „Newsweeku” Amerykanin Roger Ebert. Przeciw 3D wytoczył aż 10 argumentów, począwszy od fizjologii (powoduje mdłości i bóle oczu), na wyracho-

wanych motywach kierujących producentami 3D kończąc. I dodał, że do technologii przekona się dopiero wówczas, gdy zabierze się do niej Martin Scorsese... „Myślałem, że jestem bezpieczny” – westchnął Ebert, gdy Scorsese zapowiedział realizację filmu w trójwymiarze.

Technologia do niedawna zarezerwowana wyłącznie dla hollywoodzkich animacji, kina przygody i science fiction w ostatnich kilkunastu miesiącach przeciągnęła na swoją stronę Spielberga (realizuje „The Adventures



→ rigu stereoskopowego, niezbędnego do kręcenia w trójwymiarze, jest prosta jak budo-  
wa cepa. Potrzeba dwóch kamer, lustra i wie-  
dzy o tym, jak te kamery względem siebie usta-  
wić, by uzyskać jak najlepszy efekt – tłumaczy  
Andrzej Waluk, specjalista od 3D, który współ-  
pracował z Idziakiem przy „Bitwie...” i w towa-  
rzystwie najwybitniejszych światowych spe-  
cjalistów w dziedzinie stereoskopii bierze  
udział w tworzeniu playera do odtwarzania  
w sieci filmów stereoskopowych.

– W dodatku do kręcenia filmów w 3D wy-  
starczą tanie kamery, a nie te z najwyższej  
półki, których zwykliśmy używać w branży.  
Widz, oglądając film w 3D, patrzy jednocze-  
śnie na obrazy z dwóch kamer, na żadnym  
więc nie skupia uwagi aż tak, jak to się dzie-  
je przy płaskim obrazie – mówi Idziak, obala-  
jąc tym samym mit „drogiego trójwymiaru”.  
Niedowiarków Waluk i Idziak przekonują  
do nowej technologii na trwających właśnie  
w krakowskich Przegorzałach warsztatach  
Film Spring Open (więcej o nich w ramce),  
podczas których zaprezentowany zostanie rig  
rodzimej produkcji.

Z 3D eksperymentujemy nie tylko my, ale też  
Rosjanie. 20 stycznia rosyjski producent Mo-  
numental Pictures wypuścił do kin komedię  
„The Very Best Movie 3D” zrealizowaną także  
na sprzęcie rodzimej produkcji, co miało  
zmniejszyć koszty filmu o 15 procent.

### Czekając na mesjasza

– Ceny biletów na filmy 3D pozostają jednak  
niezmiennie wyższe, podobnie jak telewizor-  
ów 3D, a gdy dodać do tego techniczny kłopot  
związany z zakładaniem niewygodnych oku-  
larów, staje się jasne, dlaczego niektórzy wciąż  
opierają się tej technologii – tłumaczy socjolog  
kultury profesor Tomasz Szlendak. Choć jego  
zdaniem nie to jest najistotniejszym czynni-

kiem broniącym kino przed zalewem trójwym-  
miarowych produkcji. – Nie wyobrażam sobie  
przeniesienia do formatu 3D takich filmów,  
jakie kręcił Woody Allen – wyznaje. – Wy-  
obrażam sobie trójwymiarową przeglądarkę

### Czy 3D to pomysł na ratowanie majątku wielkich producentów, czy recepta na formalne wyczerpanie kina?

WWW, bo komputer jest narzędziem dotyko-  
wym, a Internet zakłada interakcję. Ale kina  
przecież nie dotykamy. Kino oglądamy, ono  
jest medium jednostronnym. Po co nam więc  
w nim trzeci wymiar? – pyta.

Według Szlendaka jedyną gwarancją, że  
kino 3D z nami zostanie, jest pojawienie się wi-  
zjonera, który wymyśli, jak wykorzystać nową  
technologię do stworzenia czegoś oryginalne-  
go. – I nie mam tu na myśli łopatologicznej hi-  
storii o jednym gatunku podbijającym drugi,  
bo tak naprawdę to tylko kolejna wersja opo-  
wiadanej od wieków przypowieści hurranaro-  
dowowyzwoleńczej, jaką był „Avatar”. Chodzi  
o kompletnie nowy przekaz, być może inter-  
aktywny, być może nieliniarny, w każdym  
razie taki, który dowiedzie, że trzeci wymiar  
jest mu niezbędny – tłumaczy.

Mesjaszem kina 3D nie będzie zatem Baz  
Luhmann, choć właśnie dostał od wytwórni  
Warner Bros. zielone światło na trójwymiaro-  
wą ekranizację „Wielkiego Gatsby’ego” (po-  
wieść Francisca Scotta Fitzgeralda była ekrani-  
zowana w 1974 i 2000 roku). Jednak realizacja  
tego filmu już budzi w branży ogromne emo-  
cje. Klasyczna powieść rozgrywająca się w la-

### Jedyne takie warsztaty

Nominowany do Oscara  
operator uczy młodych fil-  
mowców, jak kręcić w 3D.  
W krakowskich Przego-  
rzałach trwa właśnie  
(do 7 kwietnia) kolejna edy-  
cja organizowanych przez  
Sławomira Idziaka plenerów  
filmowych Film Spring Open.  
– To jedyny w Polsce festiwal  
nie oglądania, lecz robienia fil-  
mów – tłumaczy operator.  
– Ludzie przyjeżdżają, żeby  
zdobyc wiedzę o tym, jak  
nakręcić tanio technologicz-

nie nowoczesny film, a przy  
okazji mogą realizować swo-  
je projekty.

Na FSO uznani filmowcy  
występują nie jako gwiazdy,  
lecz pedagogy, którzy dzie-  
lą się z uczestnikami swoim  
know-how. Dorota Kędzie-  
rzawska i Artur Reinhart,  
którzy od lat z powodze-  
niem prowadzą własną firmę  
produkcyjną, opowiadają o ro-  
dzinnej produkcji filmowej,  
a Krzysztof Ptak prezentuje  
autorski system postprodukc-  
ji. Tematem przewodnim  
tego rocznicowych warsztatów  
jest jednak technologia 3D.  
– Kluczem programu jest

prezentacja przełomowego  
wynalazku. Niezbędny przy  
kręceniu w trójwymiarze jest  
tak zwany rig, urządzenie,  
w którym umieszcza się dwie  
kamery, żeby móc zrealizo-  
wać symultaniczne ujęcia. Mój  
współpracownik z „Bitwy War-  
szawskiej 1920” Andrzej Waluk  
skonstruował taki rig, jakiego  
używa się przy wielkich pro-  
dukcjach, tyle że wielokrotnie  
tańszy i w dodatku na bazie  
tanich kamer. Prezentujemy  
go na FSO. Wierzę, że to może  
być początek fali polskich pro-  
dukcji 3D, równie dobrych jak  
zachodnie, ale dużo, dużo tan-  
szych – dodaje Idziak.

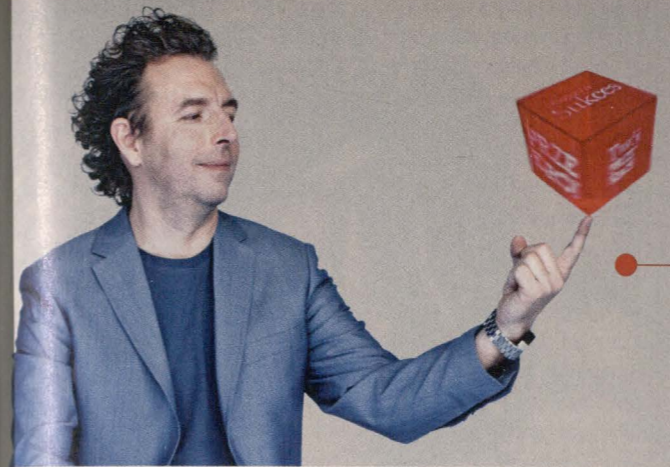
tach 20. XX wieku przeniesiona na ekran  
w 3D może odsłonić przed widzami kolejną  
twarz trzeciego wymiaru – hiperrealizm w od-  
tworzeniu minionych epok. Technologia ko-  
jarzona za sprawą „Avatara” głównie z uciecz-  
ką od rzeczywistości jako sposób na jej jak  
najwierniejsze przedstawienie? – W kine-  
matografii 2D doszliśmy do barokowego,  
dekadentckiego traktowania materii przed-  
stawionej – mówi Idziak. – Wytworzył się  
swoisty język pomysłów i chwytów ma-  
jących wyprowadzić widza z równowagi,  
zdenerwować go, bo przecież o to w kinie  
chodzi. Ten barokowy styl przestał mieć  
cokolwiek wspólnego z prawdą ekranu.

Pojawienie się nowego medium pozwala nam  
na reset, wyzerowanie dotychczasowych osią-  
gnięć, bo sztuczki, których używaliśmy w 2D,  
w 3D nie mają zastosowania.

### Nowe otwarcie

Wojna, którą James Cameron rozpoczął „Ava-  
tarem”, jest w istocie znanym w sztuce od wie-  
ków starciem starego z nowym. Czy dzisiej-  
sza krytyka pod adresem 3D nie jest dalekim  
echem dyskusji, która podniosła się po sym-  
nej wystawie impresjonistów w atelier fotogra-  
ficznym Nadara? Rozmazane malowidła bul-  
wersowały wtedy tak, jak dziś bulwersuje to,  
że twórca rozprasza widza tak, wydawałoby  
się, błahymi i tanimi efektami jak wyciągnięcie  
przez aktora ręki w stronę widowni. Co nam  
taki zabieg daje? Niektórych irytuje, innych fa-  
scynuje. A co daje autorom? Może 3D to – jak  
twierdzą przeciwnicy – sposób na uratowanie  
nie tylko majątków wielkich producentów, ale  
też kina przed formalnym wyczerpaniem? Pa-  
miętacie rok przed premierą „Avatara” i kurio-  
zalny „Ciekawy przypadek Benjamin Buttona”,  
w którym spece od efektów specjalnych  
zgotowali widzom Brada Pitta w pięciu smac-  
kach (niemowlaka, dzieciaka, nastolatka,  
mężczyzny i starca), zupełnie zapominając  
o pozostałych składnikach filmowego dania?  
Bardzo kiepski – również pod względem fi-  
nansowym – 2009 rok dowiódł, że twórcom  
kończą się zabawki potrzebne do skuszenia  
widza do kupna biletu. Trójwymiar okazał się  
gigantycznym placem zabaw równie atrakcyj-  
nym dla Camerona, jak i Wendersa, Herzoga  
czy... Tinto Brass. Ten ostatni, sławny twórca  
soft porno, zapowiedział niedawno, że użyje  
trójwymiaru do zrealizowania pierwszego  
erotyku 3D, nakręconego na podstawie pa-  
miętnego „Kaliguli”. Oby tylko Brass bądź któ-  
ryś z kolegów z branży nie okazał się poszuki-  
wanym wyżej wizjonerem 3D, bo wówczas  
filmy już zawsze będą tylko dla dorosłych. •

## NAJLEPSZE STRONY SUKCESU w nowej niższej cenie



### GRZEGORZ HAJDAROWICZ wizjoner czy szaleniec?



### MAGDA KUMOREK jej „Przepis na życie”



### MILIONY DYKTATORÓW, czyli luksus w czasie rewolucji



Sukces możesz kupić... w kioskach i salonach prasowych



# Ostatnia taka diwa

Kiedy umierają wielkie gwiazdy, często mówi się i pisze – czasem na wyrost, czasem z żalobnym patosem – że wraz z nimi odchodzi pewna epoka. **ELIZABETH TAYLOR** to zastrzeżenie nie dotyczy

WOJTEK KALUŻYŃSKI

Odejdzie Taylor ma w sobie coś z symbolicznego epitafium dla złotej ery Hollywood. W jej pokoleniu były aktorki od niej wybitniejsze, gwiazdy, które świeciły równie mocno, lecz gasty niemal niezauważenie. Taylor ucieleśniała Hollywood z czasów, gdy filmowe sławy były postaciami niemal mitycznymi, niedotykającymi. A ona była najbardziej nierzeczywista z nich wszystkich.

Była kimś więcej niż aktorką – diwą ekranu, gwiazdą otoczoną aurą skandalu i tajemnicą niczym boska Greta Garbo. Kimś, kogo nie można spotkać ot tak, na ulicy. Śniadanie z Audrey Hepburn, niekoniecznie u Tiffany'ego, poranna kawa z Shirley MacLaine, obiad w towarzystwie Sophii Loren, kolacja z Brigitte Bardot? Proszę bardzo, wszystko mogę sobie wyobrazić, ale spotkanie z Elizabeth Taylor byłoby czystym science fiction. Nimb boskiej wielkości, powiew nierealności otaczał ją do końca, nawet wtedy, gdy na dobre przestała grać.

## Więcej niż Kleopatra

Może właśnie dlatego w pamięci wielu widzów najtrwalej zapisała

się jako królowa Kleopatra z monumentalnego filmu Josepha L. Mankiewicza z 1963 roku. Wizerunek tragicznej egipskiej monarchini owijającej sobie wokół palca wielkich tego świata jak ulał pasował do jej wyniosłej elegancji. Dzięki samej jej obecności, urodzie celebrowanej przez kamerę jest „Kleopatra” czymś więcej niż nudnym, kiczowatym widowiskiem. Za tę rolę Taylor zainkasowała – jako pierwsza aktorka w dziejach kina – okrągły milion dolarów. Podobno rzuciła tę kwotę dla żartu, ale producenci niespodziewanie się zgodzili. Zarobiła te pieniądze łatwo, bo nie grała Kleopatry – ona po prostu nią była, znalazła w niej lustrzane odbicie dla własnego emploi.

Właśnie na planie „Kleopatry” poznała Richarda Burtona, który grał Marka Antoniusza. Początkowo nie zrobił na niej najlepszego wrażenia. Znajomość zaczął od banalnego komplementu, a w pierwszej wspólnej scenie, będąc na kacu, pomylił tekst. Szybko jednak między nimi zaiskrzyło i wkrótce pojawiły się plotki, że grane przez nich sceny miłosne wcale nie są udawane. Niedługo się pobrali i natychmiast stali się ulubioną parą bru-



Drugi Oscar Taylor: rola w „Kto się boi Virginii Woolf?” Mike’a Nicholisa (1966)

kowej prasy. Ich związek był burzliwy. Znany z ostrego picia Burton co chwila wywoływał skandale, choć potrafił też ofiarować żonie 70-karatowe brylanty. Rozstawali się i schodzili wielokrotnie. Nawet po rozwodzie w 1974 roku ponownie do siebie wrócili i wzięli kolejny ślub. Wytrzymali ze sobą tylko rok i ostatecznie rozstali się w 1976 roku.

Burton był najważniejszym mężczyzną w jej życiu, ale nie jedynym. On sam mówił, że jej największą miłością tak naprawdę był aktor Montgomery Clift, skądinąd homoseksualista. Ich wspólne zdjęcia obiegiły świat w latach 50. Wcześniej jeszcze jako nastolatka Taylor romansowała z miliarderem Howardem Hughesem. Potem ośmiokrotnie wychodziła za mąż, a jej małżeństwa zawsze kończyły się rozwodami. Jej ostatnim mężem był o 20 lat młodszy Larry Fortensky, którego poznała w ośrodku leczenia uzależnień narkotykowo-alkoholowych. Jeszcze niedawno spotykała się ponoć z aktorem Rodem Steigerem. Szeptano nawet o dziewiątym ślubie.

## Kotka na gorącym blaszanym dachu

Rola w „Kleopatrze”, choć stworzona dla Taylor, była też dla niej niebezpieczna. Zdarzali się i tacy, którzy odmawiali jej talentu, sprowadzając jej atuty do dekoracyjności, olśniewającej urody kruczoczarnych włosów i fiołkowych oczu. Taylor jednak nie dała się zaszufłakować, z premedytacją uciekała od ról femme fatale, prowokacyjnie wybierała kreacje kobiet neurotycznych, niezrównoważonych psychicznie, ninfomanek i alkoholiczek, jakby chciała cicho pokazać zza idealnej maski kawałek samej siebie. Kierowała karierą świadomie, bo od dzieciństwa była przyzwyczajona do blasku fleszy i trzasku filmowych klapsów.

Urodziła się wprawdzie w Londynie, ale jej rodzice byli Amerykanami. Wrócili do Stanów

na początku wojny i zamieszkała w Beverly Hills. Na pierwszy casting pojechała z matką, która za młodu występowała w teatrze. Elizabeth pierwszą rolę zagrała jako dziewięcioletka. Po „Lassie, wróć” (1943) została etatową dziecięcą gwiazdą MGM. Widzowie tak bardzo przyzwyczaili się do jej dziewczęcości, że gdy urosł jej biust, charakterystycy ukrywali go pod bandażami. Pierwszą „dorosłą” rolę zagrała w „Ojcu panny młodej” (1951), ale szansę pokazania, że jest prawdziwą aktorką, dostała dopiero pod koniec lat 50. w dwóch ekranizacjach sztuk Tennessee Williamsa – „Kotce na gorącym blaszanym dachu” (1958) Richarda Brooksa i „Nagle ostatniego lata” (1959) Mankiewicza.

Zwłaszcza ta pierwsza rola udowodnia, że Taylor była kimś więcej niż Kleopatry. U boku Paula Newmana zderzała wyuzdaną niejednoznaczność kurtyzany, nieprzystępność bogini i prostaczką niewinność dziewczyny z sąsiedztwa. Po raz pierwszy poddawała psychoanalizie po trosze samą siebie jako erotycznie wywołona kobieta odmawiająca udziału w koncercie fałszu i obłudy. Za tę rolę dostała nominację do Oscara, ale Akademia ukarała ją za skandaliczny romans z piosenkarzem Eddiem Fisherem (odbiła go Debbie Reynolds), dlatego Elizabeth statuetkę dostała dopiero za rolę luksusowej call girl w przeciętnym „Butterfield 8” (1960). Właśnie cudem wyszła z zapalenia płuc, pięć razy zatrzymał jej się oddech, media zdążyły już poinformować o jej śmierci. Przeżyła dzięki tracheotomii i na gali zjawiała się z blizną na szyi. Przegrana Shirley MacLaine nominowana za fenomenalną kreację w „Garsonierze” Billy’ego Wildera miała ponoć powiedzieć: „Przegrałam z tracheotomią”.

## Kto się boi Liz Taylor?

Drugiego Oscara Taylor dostała za „Kto się boi Virginii Woolf?” (1966) Mike’a Nicholisa na podsta-

wie sztuki Edwarda Albeego. Tym razem nikt nie miał wątpliwości, że zasłużyła na nagrodę. Znowu wymykała się z narzucanego jej wizerunku i odważnie dokonywała na sobie psychoanalizy. Jej partnerem był Richard Burton, z którym zagrała w 11 filmach, a wiwisekcja małżeńskiego koszmaru w filmie jako żywo przypominała sceny z ich burzliwego związku. 32-letnia Taylor przeobrażała się na ekranie w kobietę przed pięćdziesiątką, obnosiła nalaną twarz z rozmazanym makijażem i workami pod oczami.

Od połowy lat 70. coraz rzadziej pojawiała się na ekranie. Głośno było o jej kolejnych ślubach, romansach, prasa często pisała o jej przyjaźni z Michaeliem Jacksonem. Ciągle umiała z siebie zaprzeć, choćby rolą podstarzałej kapryśnej gwiazdy w „Zwierciadło pęka w odłamków stos” (1980). Ostatnim jej występem był epizod w filmie „Flinstonowie”. Była już

wtedy otyła, schorowana, uzależniona od alkoholu i leków przeciwbólowych. Co chwila trafiała na odwyk, a jednak organizowała w Cannes doroczne charytatywne bale na rzecz walki z AIDS. Wyglądała źle, była zbyt zniszczona jak na swoje 79 lat. Przeszła zawał i operację usunięcia guza mózgu, została przykuta do wózka inwalidzkiego, a mimo to nie zatraciła majestatu.

Film o niej chciał niedawno nakręcić Mike Nichols według książki Sama Kashnera i Nancy Schoenberger „Furious Love: Elizabeth Taylor, Richard Burton and the Marriage of the Century”. O rolę Elizabeth były ponoć Angelina Jolie i Catherine Zeta-Jones. Taylor skomentowała to tak: „Jeśli ktoś miałby zagrać mnie, to tylko ja sama. Chyba że umrę, ale na razie zbyt dobrze się bawię, żeby zejść z tej sceny”. Niestety, musiała zejść, serce nie wytrzymało.

REKLAMA



Mimo Wszystko  
Fundacja Anny Dymnej

11% KRS 0000 174 486

Zamień 1% podatku  
na 100% radości

PRZEKAŻ 1% PODATKU FUNDACJI ANNY DYMNEJ  
„MIMO WSZYSTKO” NA BUDOWĘ  
OŚRODKA WCZASOWO-REHABILITACYJNEGO  
„SPOTKAJMY SIĘ” W LUBIATOWIE.



foto: bogdankrezel.com



# Wojny XXI wieku



Z JANEM KOMASĄ  
ROZMAWIA  
KATARZYNA JANOWSKA

Internet jest odbiciem naszej natury, frankensteinem, wielką gazetą, w której każdy może być dziennikarzem, każdy może mieć swoje pięć minut – mówi **JAN KOMASA**, reżyser głośnego filmu „Sala samobójców”

**Ile czasu spędzasz w Internecie?**

– Dużo. Sprawdzam e-maile, zaglądam na Facebooka, szukam informacji o filmie.

**Ilu masz znajomych na Facebooku?**

– Teraz wielu. Jestem beznadziejny, bo przyjmuję ludzi, których nie znam – zerowa asertywność. Facebook to kreacja, ludzie mają potrzebę pokazania się, pochwalenia, bycia kimś lepszym niż w rzeczywistości. Drobiazg może zaważyć na tym, jak jesteś odbierany. Wrzuciłem kiedyś zdjęcie z imprezy i teraz mam łątkę balangowicza. Musiałem się tłumaczyć, bo napisałem słowo za dużo i ktoś poczuł się urażony. Noszę się z zamiarem zdezaktualizowania konta.

**Łatwo je stworzyć, trudno wykasować.**

**Próbowałam, ale to skomplikowana operacja.**

**Mnie przeraża świadomość, że sieć jest jak wieczność. Wrzucisz w nią coś i zostanie tam na zawsze.**

– To może budzić grozę. Planuję samobójstwo facebookowe. Napiszę długie, przypadkowe hasło w Wordzie – nie ma szans, żeby zapamiętał kilkanaście przypadkowych cyfr – potem trzeba je dwa razy przekopiować i już nigdy nie będę mógł odzyskać swojego konta.

**Widzę, że rozmawiam z desperatem. Internet to second life czy life?**

– Życie internetowe stało się komplementarne z realiem. Mój brat mieszka w Londynie, gdzie uczy się śpiewu...

**Śpiewa także w twoim filmie. Zresztą występuje w nim cała twoja rodzina: siostra, dyrektora szkoły gra twój ojciec Wiesław Komasa, mama zadbała o oprawę muzyczną.**

– No tak, rodzinny biznes... Jesteśmy ze sobą zżyci, dobrze nam się współpracowało. Z bra-

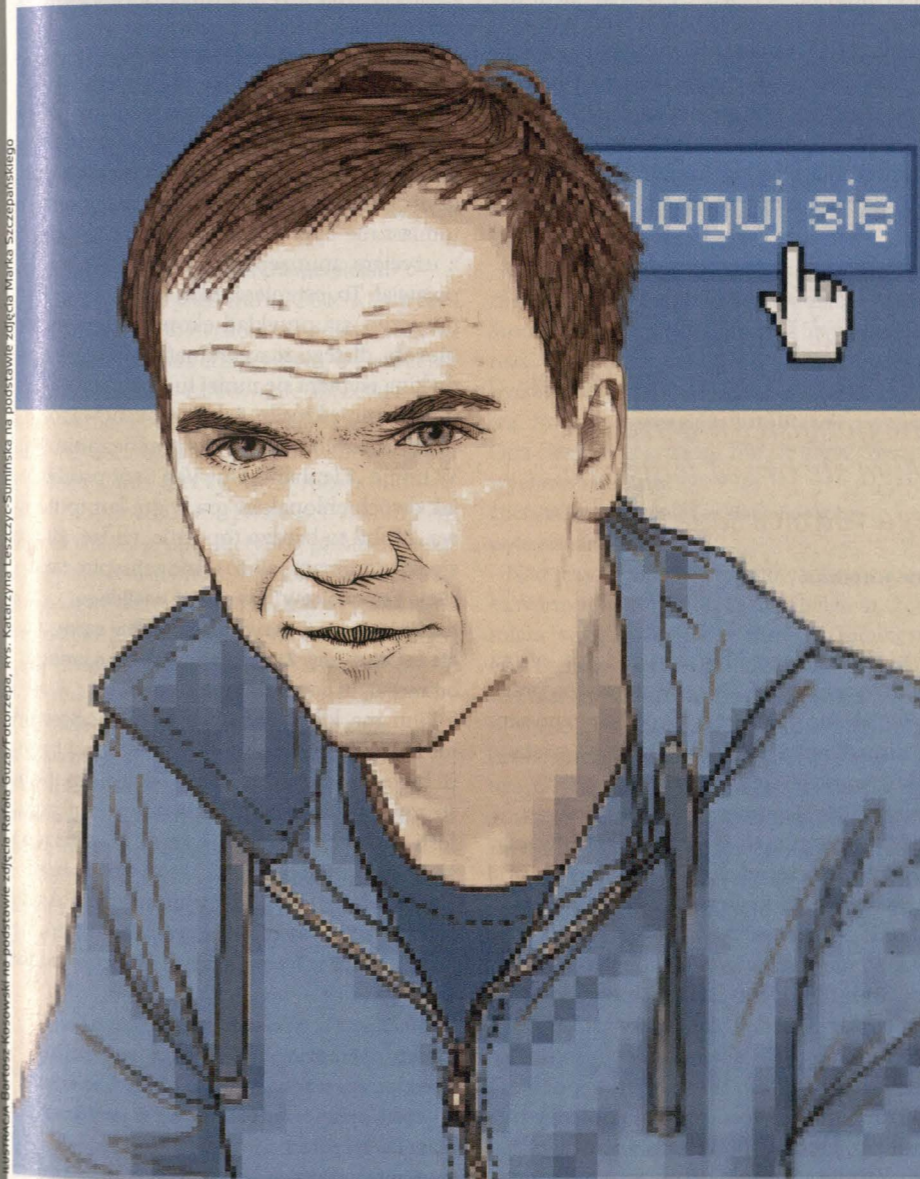
tem codziennie gadamy przez Skype'a, moja siostra mieszka w Berlinie i z nią też jesteśmy w stałym skype'owym kontakcie. Widzi, jak jemy kolację z dziećmi, my możemy zobaczyć jej mieszkanie. Chodzi z laptopem i pokazuje, co kupiła. Mamy poczucie bliskości.

Internet zagiął czasoprzestrzeń, spowodował, że możemy być w różnych miejscach świata i jednocześnie w pewnym sensie żyć wspólnie.

To jest świat, w którym nie da się nigdzie uciec. Albo przeciwnie – siedząc w domu, można z niego całkowicie wyemigrować. Spotkałem wiele osób w „Second Life”, które naprawdę siedziały tam non stop. Wieczorem żegnałem się z nimi, rano się logowałem, a oni dopiero szli spać. Spędzali tam całą noc, po czym o 12, 13, 14 znowu byli zalogowani. Dominik, bohater mojego filmu, przestaje uczestniczyć w realu, ucieka w cyberpustelniczo.

**A ja miałam wrażenie, że on nie samotności szuka w necie, lecz przyjaźni, kogoś, kto na niego zwróci uwagę. Awatar dziewczyny, na którą trafia, wciąga go do sali samobójców.**

– Przygotowując się do filmu, byłem częstym gościem na forach, na których pokazuje się filmiki z prawdziwych samobójstw albo wypadków bądź morderstw. Wpisujesz adres: Iran, Irak, Egipt, wybierasz kategorię: tortury, dekapitacja, powieszenie, i dostajesz, co chcesz. Filmy są opatrzone dziesiątkami komentarzy, tworzą się grupy fanów. Widziałem kiedyś drastyczne zdjęcia z koszmarnego wypadku: człowiek miał zmasakrowaną twarz, a ludzie pisali: o, jaki fajny uśmiech mu się zrobił – od jednego ucha do drugie-



„Zastanawiałem się, co mogę zaproponować światu. Uznałem, że połączenie fabuły z animacją może być oryginalne, i w to poszedłem

JAN KOMASA

go. Zaskoczyło mnie, że dziewczyny bywają okrutniejsze.

**Tego nie wiesz, bo w sieci możesz wybrać dowolną płć, tożsamość.**

– To prawda. Nagle widok cudzego dramatu przeradzał się w rodzaj zabawy. Furorę robiło wideo nakręcone przez dwóch ukraińskich nastolatków, którzy zabijali bezdomnych. Film co chwila był wykasowywany z serwerów, mimo to ciągle wracał, bo sieć ma wiele poziomów. Tak jak mówiłaś – wszystko tam tkwi na wieczność.

**To jest rodzaj otchłani, z której rozmiarów nie zdajemy sobie sprawy.**

– To jest stworzony przez człowieka twór, który cały czas ewoluuje. Jest odbiciem naszej natury, frankensteinem, wielką gazetą, w której każdy może być dziennikarzem, każdy może mieć swoje pięć minut. W YouTube można zostać gwiazdą w jeden dzień. Koleś nagrał, jak rapuje, i milion osób to obejrzało. To działa też w drugą stronę – można kogoś zrujnować. Było takie wideo zatytułowane „Kurewki ze Strzegomia”. 15-letnie dziewczyny opowiadały o swoich seksualnych przygodach, ostro, bez zażenowania. Rozeszło się to w sekundę po różnych portalach, rodzice dziewczyn próbowali to wykasować, ale bezskutecznie. Doszło do tragedii. Chłopak jednej z tych dziewczyn się powiesił, a ona z rodzicami wyprowadziła się z miasta. To poszło falą, jak plotka, którą widać i nie da się z nią już nic zrobić.

**Ofiarą facebookowej fali pada Dominik. Sieć go niszczy, a jednocześnie on tam właśnie szuka pomocy.**

– Tak. Chodziło mi o to, by nie mówić, że Internet jest zły. Można tam znaleźć wszystko – swoje odkupienie i swoje przekleństwo.

**Po premierze twojego filmu znajomy opowiadał mi, że jego syn też miał okres zatopienia się w necie. Jednak miał więcej szczęścia niż Dominik, bo nie trafił na taką sukę jak Sylwia z „Sali samobójców”. Ona całkowicie go od siebie uzależnia, gra z nim.**

– Sylwia stworzyła sobie świat, Nibylandię, rodzaj portalu, w którym ludzie, mimo że →



→ są dorośli, zachowują się dość infantylnie. Ale przecież w gry komputerowe grają 30-, 40-latkami. Facebook ma bardzo dużo cech gry komputerowej, w której mamy swojego awatara. Kreujemy go, kontrolujemy, jak rośnie liczba znajomych, aliansów, aplikacji, zaproszeń, wiadomości. Gdyby chodziło nam wyłącznie o komunikację, wystarczyłby telefon. Facebook jest jak otwarte okno – i chcemy, żeby nas inni przez nie podglądali.

Oczywiście Mark Zuckerberg we wszystkich wywiadach powtarza: to wasza sprawa, co robicie, ja dałem wam tylko narzędzie, i ma diabelską rację. Jeżeli ktoś jest słaby i ma z tego powodu problemy, to będzie je miał również na Facebooku. Internet nie uchroni nas przed nami samymi. Koledzy Dominika jadą po nim nie z powodu gejostwa, tylko dlatego, że po prostu wyczuli słabszego. Dlatego opowiadamy o Dominiku, a nie o Aleksie

” Mam kuzyna, który wybrał „Second Life”. Całe dnie spędza przed komputerem. Nie uczy się, nie pracuje. Miga się przed wojskiem. Jego rodzice są bezradni

JAN KOMASA

W pierwszej scenie filmu są rodzina, ale są fałszywymi ludźmi. W ostatniej zaś są prawdziwi, ale nie są już ze sobą. W pewnym sensie zmusił ludzi do tego, żeby zdjęli awatary, za którymi kryli się w życiu.

Zmusił ich do skonfrontowania się z prawdą.

– Fascynuje mnie to, jak drobne zachowania, wydarzenia przesądzają o naszym losie.

Przypominam, że Krzysztof Kieślowski już nakręcił „Przypadek”.

– Ale to nie znaczy, że nie można o tym myśleć. Mój film jest o lawinie spowodowanej kamyczkiem, jedną myślą, sytuacją. Właściwie nic by się nie stało, gdyby na przykład na początku filmu matka odebrała od Dominika telefon, że utknął między piętami. Nie miałby powodu otwierać laptopa i szukać nie wiadomo czego. Smutek spowodował, że nacisnął „go” i odpisał dziewczynie z czerwonymi włosami banałem na banał, bo oni wymieniają się banałami, ale jest taki moment, że ludzie chcą mówić i słyszeć banały. W intymnych chwilach wszystko sprowadza się do „kocham cię” albo „jestem z ciebie dumna”.

Skąd pomysł, żeby tak mocno wejść w animację?

– Od zawsze oglądałem dużo animacji, zwłaszcza japońskiej, podwórko żyło Tsubasą. Miałem graffiti. Rysowałem dużo komiksów, które wydałem w Kulturze Gniewu. Nawet chciałem zająć się animacją zawodowo. Kiedy zacząłem myśleć o filmowym debiucie, zastanawiałem się, czy mam coś swojego do zaproponowania światu. Uznałem, że połączenie fabuły z animacją może być naprawdę oryginalne, i w to poszedłem. Lubię robić rzeczy nowe.

W tym filmie zrobiłeś coś nowego?

– W Polsce na pewno tak, na świecie jest tego więcej. Gdy w 2007 roku zaczęliśmy pracę nad „Salą samobójców”, były już takie filmy jak „Masz świadomość” i „S@motność w sieci”, czyli oparte na komunikacji internetowej. Natomiast nie było dramatu psychologicznego z użyciem animacji albo bardzo rzadko się pojawiał. To jest mieszanka, której z różnych przyczyn, na przykład ekonomicznych, się nie robi, dlatego że na dramat psychologiczny do kina wybiera się mniej ludzi niż na komedię. I to mnie kręciło, żeby zrobić nową formę – dramat psychologiczny za pomocą animacji. W filmie „Elephant” Gus Van Sant pokazuje, jak dwóch chłopaków gra w grę komputerową. Zrobił to bardzo topornie, widać, że nie siedzi w animacji, ale to mnie zainspirowało.

„Sala samobójców” ma chwile wielkiego napięcia, mocne, nasycone emocjami sceny, ale też dłużyzny. Zresztą budzi skrajne emocje: od zachwyty po totalne odrzucenie.

– Film ma kilka poziomów. Na pierwszym może sprawić wrażenie dydaktycznej historii ku przestrodze rodzicom i dzieciom. Konstruowałem ją trochę na zasadzie labiryntu. Jeśli ktoś się w niego nie zapanuje, zatrzyma się na głównym poziomie, który go może rozczarować. I wtedy rodzice grani przez Agatę Kuleszę i Krzysztofa Pieczyńskiego staną się płacy, bohater rozmemłany i nudny, a całość za długa.

Pochodzisz z artystycznej, ale też chyba tradycyjnej rodziny: trójka rodzeństwa, ojciec aktor uczący tradycyjnego aktorstwa w szkole. Ty jesteś przed trzydziestką, od 10 lat żonaty, masz dwoje dzieci, a zrobiłeś film o świecie, w którym wszystkie wartości się rozspaly.

– Bo tak jest. Pierwsza wersja „Sali samobójców” miała się dziać, kiedy umierał papież. W scenariuszu była scena, jak Dominik przemyka między pokojem a łazienką

www iPad Zobaczyć making off filmu „Sala samobójców” na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

i widzi rodziców płaczących przed telewizorem. Zmieniali kanały i na każdym była czar-na wstążka. Odchodził ostatni autorytet. Wiedzieliśmy, że jest ktoś bielszy od nas, i to nam dawało spokój. Zdałem sobie sprawę, że to naiwność. Dziś już nikt taki nie istnieje. Dlatego wyrzuciłem te sceny, wymazałem wszystkie ślady wartościowania. Postanowiłem pokazać, że nie ma winnych czy niewinnych. Dominik ma 18 lat, jest rozpuszczonym gnojkiem, robi rodzicom sajgon z życia, mogliby go wywalić z domu, ale tego nie robią. Walczą o niego, jak potrafią. Może trochę za późno, mimo to próbują. Można ich krytykować i pytać, dlaczego wcześniej nie zareagowali, lecz w życiu tak to właśnie wygląda. Sam mam dalekiego kuzyna, który wybrał „Second Life”. Całe dnie spędza przed komputerem. Nie uczy się, nie pracuje. Miga się przed wojskiem. Jego rodzice są bezradni.

Ty też nie byłeś grzecznym chłopczykiem?

– Coś tam było, jakiś bunt. Choć kiedy dziś to wspomina, to myślę, że chodziło o dziewczynę, o chęć bycia atrakcyjnym, o zwrócenie na siebie uwagi – farbowanie soczewek albo malowanie włosów, bo była moda na The Prodigy. Miałem bardzo silną potrzebę ekspresji i pokazywania rzeczy, które robię, budowania w ten sposób swojej wartości. Z kumplem stworzyliśmy grupę poetycką, pisaliśmy wiersze i rozwieszaliśmy je w szkole. Miałem szaloną satysfakcję, kiedy koledzy czytali nasze wierszyki lub darli kartki na kawałki. Długo udawało nam się pozostawać anonimowymi. W końcu się wydało, kto zaśmieca szkołę.

Filmowi rodzice są zajęci karierami, sobą, o snu przypominają sobie przy okazji oficjalnych wyjść. Właściwie z nim nie rozmawiają. Chcesz przestrzec innych, ale czy ty masz czas dla swoich dzieci?

– Nie miałem go za wiele podczas robienia filmu. Rozmawiałem o tym z rodziną i przyja-

ciółmi i doszliśmy do wniosku, że ten film był tego wart. Może coś ważnego komuś uświadomi? Mogłem się zatracić w kręceniu seriali, reklamówek i też by mnie nie było w domu.

Ale „Sala samobójców” zajęła ci trzy lata.

– Intensywne trzy lata. Mam jednak rodzinę, synka, który ma roczek i trzy miesiące, i córkę, która ma 10 lat, i bardzo chcę z nimi być. Większość moich znajomych jeszcze nie zdecydowała się na założenie rodziny, ja zrobiłem to bardzo wcześnie. Z Kingą jesteśmy już 10 lat. Myślę, że dzięki temu robię filmy, jestem reżyserem, bo gdyby nie małżeństwo i rodzina, mógłbym się rozpląnąć w niezdecydowaniu. Może to rodzaj wyłamania się? Zawsze chciałem się różnić, być trochę inny niż wszyscy.

Film dedykowałeś dziewczynie, która zmarła na depresję. Sylwia, którą gra Roma Gąsiorowska, też jest chora.

– Cierpi na psychozę. Początkowo miała być rówieśniczką Dominika i wywodzić się z jego środowiska. Podczas pracy z psychiatrami nad tym filmem uznaliśmy jednak, że musi być od niego starsza i mieć historię choroby. Internet pomaga w autokreacji psychozy. Ona cierpi na nerwice – boi się zarazków, nie wychodzi z domu.

Chciałaby tylko istnieć w sieci, być sobą wykreowaną.

– Nad językiem Sylwii pracowaliśmy z poetką Weroniką Lewandowską. Chciałem, żeby miała swój specyficzny sposób mówienia oparty na banalnych skojarzeniach. Po co nosisz maskę? – pyta Dominik. A ona mówi: chroni mnie przed złośliwym działaniem ludzi i substancji. Sylwia nosi maski, maluje sobie twarz długopisem. Roma Gąsiorowska jest szalenie kreatywna. To ona zdecydowała, że Sylwia będzie miała różowe włosy. Zawładnęła nie tylko filmowym Dominikiem, ale i nami. Przez cały film jest silnym znakiem, kimś

sztucznym. Dominik też jest sztuczny. Poszliśmy mocno w sztuczność postaci.

W Japonii istnieje cała subkultura ludzi wycofujących się z życia.

– Pani psycholog, z którą o tym rozmawiałem, powiedziała, że człowiek ma prawo dokonać takiego wyboru. Dlaczego nie? Dlaczego nie mamy żyć życiem, które nas satysfakcjonuje? Chyba dużo gorzej jest spełniać oczekiwania rodziny, otoczenia, świetnie zarabiać w korporacji i być z tego powodu niezadowolonym. Tłumaczyła, że jeżeli nikomu to nie przeszkadza, to w wycofaniu się z życia nie ma nic złego.

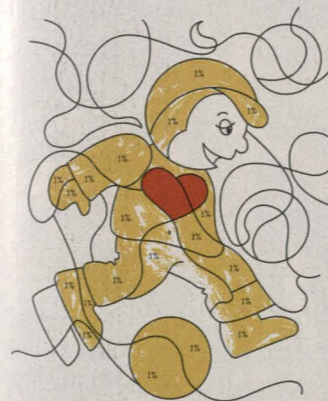
Pod warunkiem że nie prowadzi do samobójstwa. Z jakiegoś powodu ludzie, o których mówi pani psycholog, do niej trafiają. Dziewczyna, której dedykowałeś film, była chora i – jak zrozumiałam – popełniła samobójstwo.

– Nie da się uleczyć smutku. Psychiatra powiedziała jej mamie: jeśli pani córka będzie chciała odejść, to odejdzie, nic pani z tym nie zrobi. Nasz filmowy psychiatra (Kinga Preis) też mówi prawdę rodzicom Dominika. Jest okropną postacią, ale niestety ma rację. Dominik jest pełnoletni i ma pełne prawo do własnych wyborów. Rodzice nie uchronią go przed nim samym. Choroby psychiczne będą wojnami XXI wieku, w których walka sprowadzi się pod korę mózgową. Nic już nie jest oczywiste. Trwa eksperyment społeczny, który sprowadza się do tego, że jesteśmy wydawani coraz bardziej na pastwę samych siebie. Wiemy, że o problemach trzeba rozmawiać, i rozmawiamy z przyjaciółmi, z fachowcami, dużo o sobie wiemy, rozumiemy, zwiększyła się liczba lekarstw, a mimo to nie jesteśmy mniej chorzy. ●



Chilli ZET. Radio w pogoni za kulturą [www.chillizet.pl](http://www.chillizet.pl)

REKLAMA



1% MA MOC TWORZENIA

Przeznacz swój podatek na rehabilitację dzieci z „Helenow” w Międzyzlesiu.

KRS: 0000114345

cel szczegółowy: „HELENÓW”

[WWW.HELENOW.PL](http://WWW.HELENOW.PL)





# Fotografowanie jest jak boks

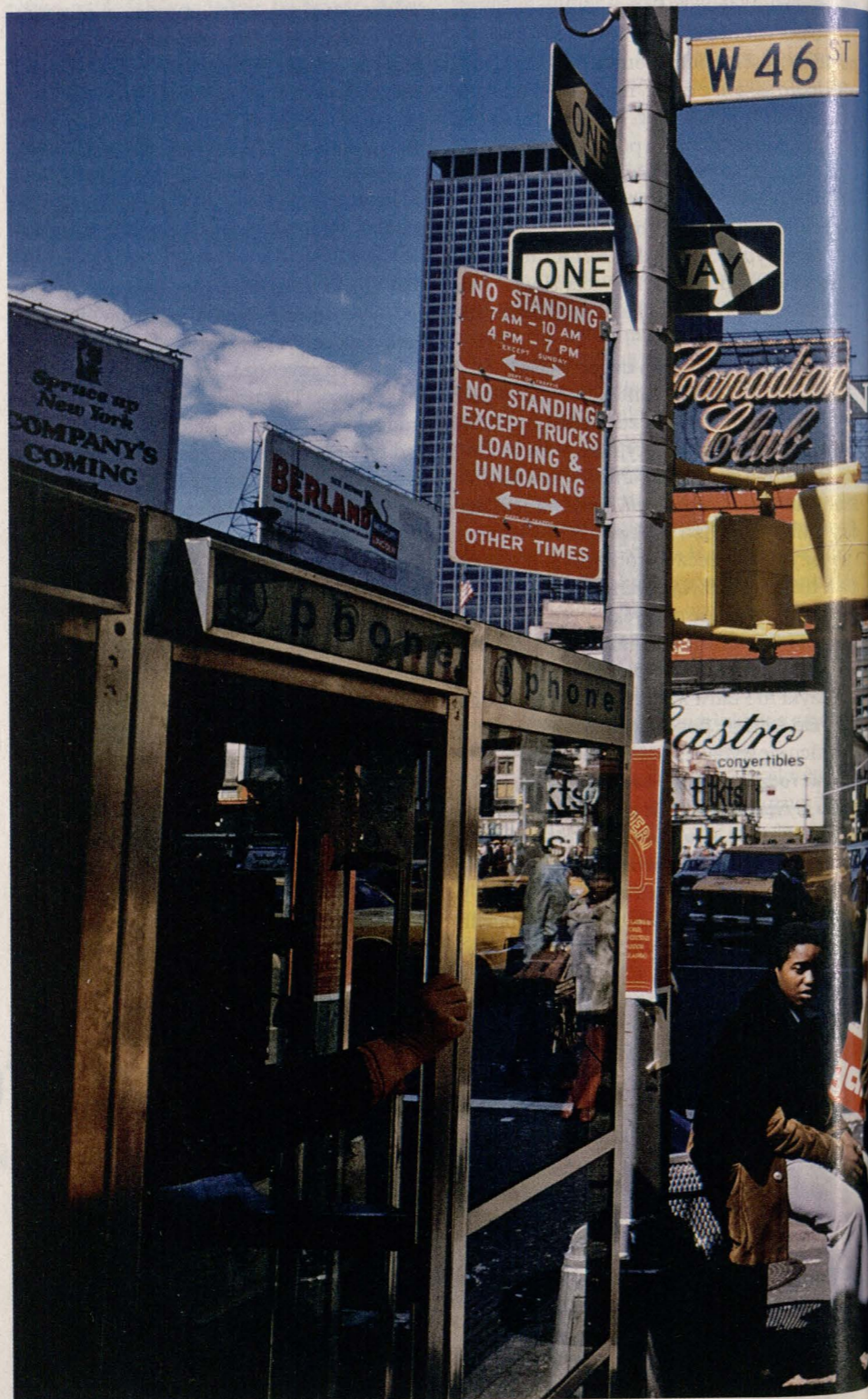
Jest jak Lou Reed, Spike Lee i drużyna Knicksów. Kocha Nowy Jork - z wzajemnością. Weteran fotografii ulicznej, człowiek, który do dokumentu wprowadził kolor - **JOEL MEYEROWITZ**

KUBA DĄBROWSKI

Lata 50. na twardym nowojorskim Bronksie. Ojciec Joela Meyerowitza jest podrzędnym aktorem, naśladuje Charliego Chaplina w tanich wodewilach. W życiu często musi radzić sobie pięściami. Chce, żeby przynajmniej jego syn uniknął roli osiedlowego popychadła. Raz w tygodniu uczy go podstaw boksu. Pokazuje mu, jak trzymać gardę i wyprowadzać ciosy, ale przede wszystkim uczy go przewidywać ruchy przeciwnika. - Większość ludzi nie umie się bić, wysyłają ci sygnały, co za chwilę zrobią. Patrz uważnie, a zobaczysz najbliższą przyszłość - opowiada „Przekrojowi” Joel Meyerowitz. - Bez tych lekcji byłbym innym fotografem. Chodzi o pewność siebie i brak strachu, ale przede wszystkim o umiejętność ułożenia porządku z chaosu. Moja fotografia jest jak boks.

## Piąta Aleja i papierosy

Fotografią Meyerowitz zainteresował się na początku lat 60. Pracował wtedy w małej agencji reklamowej przy Piątej Alei. Był dyrektorem artystycznym, chociaż to określenie na wyrost, bo agencję tworzyły dwie →



W przypadkowych kadrach Meyerowitza nie ma przypadku. W chaosie zatłoczonej ulicy fotograf odnajduje kompozycyjny porządek, Nowy Jork, 1976 rok

FOT. 46<sup>th</sup> Street, New York City, 1976 © Joel Meyerowitz, Courtesy Edwynn Houk Gallery



→ osoby – on i szef. Radził sobie nieźle, ale nudził się, bo wiedział, że chce zrobić coś innego.

W pewien wiosenny dzień 1962 roku został wysłany do nadzorowania sesji reklamowej rajstop. Zdjęcia robił Robert Frank. Sesja nie przypominała tych, które znał Meyerowitz: z okien do pomieszczenia wpadało naturalne światło, modelki paliły papierosy, czesały włosy, plotkowały. – Fotografowie, z którymi do tamtej pory współpracowałem, rozstawiali światła, ustawiali modeli oraz rekwizyty i na tym się kończyło. Natomiast Frank nawet w tej sztucznej sytuacji łapał w obiektyw prawdziwe życie. Kiedy robił zdjęcia, pracowało całe jego ciało. To było jak taniec.

Po powrocie z sesji Meyerowitz już wie, co chce robić. Po pracy zaczyna wychodzić na ulicę i z zaskoczenia fotografować przechodniów. – Nie znałem historii fotografii, nie odnosiłem się do żadnej tradycji. Ulica była moim naturalnym środowiskiem – opowiada. Fotografowanie go wciąga, ale boi się zrezygnować z posady. Waha się. Tymczasem jego szef też ma dość wycinania szyldów, chce wyjechać do Hiszpanii i malować obrazy. Żeby nie zostawić pracownika na lodzie, daje mu fuchę – pracę grafika w kwartalniku dla młodych matek. W ramach odprawy Joel dostaje też aparat fotograficzny i wydaną kilka lat wcześniej książkę Roberta Franka „The Americans”. – Spodoba ci się – mówi szef.

Okazuje się, że fotograf, którego pracę nadzorował młody grafik, nie był pierwszym lepszym, tylko żyjącą legendą fotografii dokumentalnej. Książka wstrząsa Meyerowitzem. – Do tej pory wiedziałem, że zdjęcia mogą być piękne albo śmieszne. Nie wiedziałem, że mogą też być zwyczajnie ważne – mówi.

### Uliczne życie

Meyerowitz nie musi spieszyć się do biura, więc codziennie rano wychodzi na ulicę i rzuca się w wir miasta. Najczęściej fotografuje na Piątej Alei. – Po pierwsze, przez cały dzień było tam dobre światło. Po drugie, tam były najładniejsze dziewczyny, najbogatsi biznesmeni i najbiedniejsi żebracy. Wybuchowa mieszanka – śmieje się. Spacerując z aparatem, co jakiś czas widuje kilka podobnych do siebie postaci. Jak z podziemi pojawiają się tam, gdzie jest tłok i dobre światło. Joel zagaduje jednego ze współzależnych. To Brytyjczyk Tony Ray-Jones. – Okazało się, że obaj byliśmy grafikami, obaj właśnie rzuciliśmy pracę w reklamie, obaj wyszliśmy z aparatami na ulicę, nie do końca wiedząc dlaczego, i obaj byliśmy początkującymi fotografami.



Meyerowitz podróżował też po USA, **Floryda, 1968 rok** (u góry). Po rzuceniu pracy spędził trochę czasu w Europie. Na Starym Kontynencie jego estetyka sprawdziła się równie dobrze jak w Ameryce, **Paryż, 1967 rok** (po prawej). W tym momencie fotograf pracuje nad projektem w Prowansji



Postanawiają połączyć siły. – Ja miałem trochę niechlujny sznyt: broda, długie włosy... Tony natomiast był rasowym brytyjskim elegantem. Musieliśmy wyglądać bardzo śmiesznie – wspomina.

Fotografowie pracują razem: rano kawa, później polowanie, obiad i znowu polowanie. Chodzą na popularne w Nowym Jorku parady. – Parady były dla nas bardzo wygodne. Wzdłuż trasy przemarszu ustawiali się ludzie, którzy oglądali pochód. Można było iść razem z paradą, fotografować zapatrzonych w nią widzów i pozostawać niemal niezauważonym.

Podczas spacerów wyłapują z tłumu innych fotografów. Zaczyna tworzyć się „uliczne” środowisko: Garry Winogrand, Lee Friedlander, Diane Arbus... – Uczyliśmy się od siebie róż-



For: Florida, 1968 © Joel Meyerowitz, Courtesy Edwynn Houk Gallery



For: Camel Coats, New York City, 1975 © Joel Meyerowitz, Courtesy Edwynn Houk Gallery

### W fotografowaniu na ulicy chodzi o pewność siebie, brak strachu i przewidywanie, co stanie się za chwilę

nych ulicznych trików, ale przede wszystkim zarażaliśmy się apetytem na życie – mówi krótko Meyerowitz.

Raz udaje mu się spotkać samego Henri Cartier-Bressona. – Byłem świadkiem sceny, kiedy na paradzie świętego Patryka ten poważny Francuz znokautował jakiegoś agresywnego pijaka swoją leicą. Kiedy podszedłem do niego, myślał, że jestem z policji.

### Kolor z Bronksu

Co wieczór dyskutują o tym, co robią. Na bieżąc, na własnych błędach uczą się techniki. Obaj, Meyerowitz i Ray-Jones, zaczynają pracować w nieuznawanym w artystycznym światku kolorze. – To nie był żaden rewolucyjny wybór, po prostu chcieliśmy widzieć efekty swojej pracy od razu. Nie mieliśmy własnej ciemni, a kolorowe slajdy mogliśmy na poczekaniu wywoływać w laboratorium. Czerni i biel wszystko upraszcza, sfotografowane rzeczy od razu stają się symbolami. Kolor po prostu opisuje rzeczywistość – tłumaczy. – Robiąc zdjęcia, nie chciałem opowiadać o wielkich rzeczach, chciałem przekazać dalej to, co zobaczyłem, jak czułem się w tej sytuacji. Kolor wydawał mi się do tego odpowiedni.

Dzięki brakowi ciemni w małym mieszkaniu na Bronksie rodzi się kolorowa rewolucja. – Kiedy w latach 70. kolor na dobre wchodził

na salony, ja miałem już wypracowany własny styl, własny sposób patrzenia. Moje zdjęcia nie były „o kolorze”, nie były o tym, że niebieski płaszcz ładnie wygląda na tle czerwonej ściany. Były po prostu o świetle.

Krytycy i kuratorzy widzą w nim most między starym a nowym sposobem opowiadania. Staje się środowiskową gwiazdą.

Dzisiaj Meyerowitz ma 73 lata. Ciągłe wychodzi z aparatem na ulicę i ciągle stosuje na niej bokserskie sztuczki. Ulica jednak działa inaczej niż dawniej. – Świat nie jest już tak naiwny jak w latach 60. Kiedyś, gdy robiłeś zdjęcie, ludzie zastanawiali się, dlaczego fotografujesz akurat ich, co jest w nich takiego ciekawego. Często właśnie o to pytali: dlaczego ja? Dzisiaj każdy uważa, że jest interesujący, nowojorski przechodzień ma swoją „markę”, dba o swój wizerunek i nie chce tracić nad nim kontroli. Ludzie boją się, że ich zdjęcia wylądują w sieci, a oni staną się pośmiewiskiem. Wszyscy czekają na swoje pięć minut sławy i nikt nie chce, żeby przyszła ona dzięki jakiemuś podejrzanemu facetowi z aparatem. ●

Zdjęcia Joela Meyerowitza można oglądać na festiwalu **FORMAT. International Photography Festival 2011 „Right Here Right Now: Exposures from the public realm”**, do 3.04 w Derby w Wielkiej Brytanii. Więcej informacji na [www.formatfestival.com](http://www.formatfestival.com)



MUZYKA

# Ona ma siłę...

Czy Varius Manx mogą wrócić na szczyt? Jeśli już, to na plecach nowej wokalistki

JAREK SZUBRYCHT



Anna Józefina Lubieniecka – nowa twarz, nowy głos, nowy talent

Chciałem więcej, niż mogłem unieść – śpiewa w „Przebudzeniu” Anna Józefina Lubieniecka i brzmi to cokolwiek złowrogo. Bo czy nie porwała się z motyką na słońce? Czy Varius Manx to dla młodej wokalistki szansa, czy obciążenie? Zespół niby popularny, ale lata świetności dawno ma za sobą. Do tego jeszcze wypadek i dramat poprzedniej wokalistki. No i Robert Janson, który umie układać ładne piosenki, ale wizerunek od zawsze ma fatalny, a przecież dziś w popie ważniejsze jest to, co widać, niż to, co słychać. Przed przesłuchaniem „Eli” byłem więc gotów Annie Józefinie raczej współczuć, niż gratulować.

To nie jest wesoła płyta, bo zespołowi nie było ostatnio do śmiechu. Zniknęły więc bombastyczne refreny, a wokalistka może swobodnie śpiewać, zamiast – poza jednym niechlubnym wyjątkiem – komunikować się z publicznością bawolim rykiem. Uff! Co za ulga. Wśród tych niespiesznie podanych melancholijnych melodii więcej czasu na budowanie nastroju, brzmieniowe nuan-

se i aranżacyjne subtelności. Z wyborem kolejnych singli do radia będzie kłopot, ale zyskał na tym album jako całość. Znowu słychać, jakiej klasy to muzyki.

A właśnie – znowu! „Eli” to powrót do czasów, kiedy w zespole śpiewała Anita Lipnicka, a w łodzianach upatrywano największej polskiej nadziei na nowy lepszy pop. Powrót to zamierzony – do tego stopnia, że Anita napisała kilka tekstów.

Co więcej, oprócz udanej wizyty w przeszłości jest też nadzieja na przyszłość. Utwór „Harfa”, muzyka i słowa: Lubieniecka. Z jednej strony to cud, że Janson dopuścił smarkulę do skomponowania piosenki na jej pierwszą płytę w zespole, ale

z drugiej – głupi nie jest. Słyszał, że to po prostu świetny numer, chociaż pochodzący ze świata, do którego Varius Manx nigdy wcześniej się nie zapuszczali. Trochę smacznej elektroniki, ani śladu Genesis i Toto, zadęcia i gitarowych solówek. A więc to urodziwe i przesympatyczne dziewczę potrafi nie tylko śpiewać, ale też tworzyć muzykę? Oho, coś mi się wydaje, że Józia jest teraz bardziej potrzebna Varius Manx niż oni jej...



\*\*\*\*  
Varius Manx „Eli”,  
Sony Music

# Odwagi, Jessie J!

Aby naprawdę wystraszyć Rihannę, Jessie musiałaby mieć nie tylko brytyjski meldunek, ale i charakter

Brytyjczycy mają dość oklaskiwania gwiazd zza oceanu i chcą własnej Rihanny, Pink, Beyoncé i Christiny Aguilery. Najlepiej wszystkich w jednej. Stąd decyzja, by na najbardziej obiecującą tegoroczną debiutantkę namaszczyć młodszą, acz doświadczoną już londyńską wokalistkę Jessie J. Zastąpienie? Cóż... Ma dziewczyna kawał głosu i potrafi z niego korzystać, o czym uprzedził zaprzyjaźniony z nią Justin Tim-

berlake i co słychać szczególnie w balladowych fragmentach jej debiutu. Że piosenki pisze całkiem zgrabnie, dowiodła, pracując między innymi dla Alicii Keys oraz wspomnianych Aguilery i Timberlake’a. Charakter? Tego również pannie Jessie nie można odmówić. Jest w niej świeżość, potencjał i nadzieja, że rzeczywiście spełni oczekiwania rynku. To jednak pod warunkiem, że następnym razem mniej będzie oglądać się



\*\*\*  
Jessie J  
„Who You Are”,  
Universal

# Oblicze Li

Zmagania z dziewczęcnością zaprowadziły Lykke Li do gwiazdorstwa

Fignarnym, nieco postrzelonym debiutem „Youth Novels” Lykke Li przygotowała grunt pod premierę swojej drugiej płyty. 25-letniej wokalistce przypięto łatkę zagubionego skandynawskiego dziewczęcia, choć mimo szwedzkiego pochodzenia dorastała też w Indiach i Portugalii, po wejściu w pełnoletność zaś umknęła do Nowego Jorku. „Do tego 90 procent komentarzy pod moimi teledyskami na YouTube dotyczy wyglądu, tego, jaka to jestem brzydka i tak dalej” – mówiła w jednym z wywiadów.

W walce z niechcianą gębą Lykke muzycznie skręca ku r&b i popowi (ani śladu laptopowej elektroniki) i nabiera poetyckiego animuszu. Inspirowane prozą Murakamiego singlowe „Get Some” draży wątek psychicznej prostytucji. W „Sadness Is a Blessing” romantyzm i nadwrażliwość Li („Smutek to błogosławieństwo, smutek to perła, smutek to mój chłopak”) kontrastuje z ambicjami i potrzebą niezależności. W chwytliwych refrenach Lykke miesza brzmienia odległe historycznie i geograficznie, aranżacje rozpina pomiędzy masywnym brzmieniem potencjalnych szlagierów a skrajnym umiarem. W „Unrequited Love” wystarcza jej głos, dyskretne rzępolenie gitary i tupanie. Płytę kończy niemal a cappella. A każda melodia zdaje się zapowiadać narodziny gwiazdy. Oby jednak i to przyszłe wcielenie zniechęciła równie prędko i płodnie.

MARIUSZ HERMA



Wcale nie taka brzydka Lykke Li



\*\*\*\*\*  
Lykke Li  
„The People's Key”,  
Saddle Creek

# RECENZJE KSIĄŻKI

# Kicze hiszpańskie

„Saturn”, nowa powieść Jacka Dehnela, to nie jest polskiej prozy niedziela

MARCIN SENDECKI

Przyznaję, w ogóle nie chciałem zbliżyć się do „Saturna”, spodziewając się, że znajdę w nim głębie i piękności, których pojąć nie zdołam. Jednakowoż tyle się zachwytyłem nad książką o „życiu mężczyzn z rodziny Goya” naczyciałem, jaka to wstrząsająca, świetna, jaki „językowy majstersztyk”, że i mnie podkuśliło, by się powzruszać na wyznach naszej młodej prozy – i może nawet zdać z tego państwu sprawę. Co się dzieje w środku, to już wszystkie te pochwalne recenzje detalicznie wyłożyły: że straszny i genialny tata Goya, że syn Javier przez ojca stłamszony, wnuk Mariano trzeźwo myślący, że teoria humorów, że literatura przedmiot; że nie wiadomo, kto naprawdę jest autorem sławnych „czarnych obrazów”, że ich ekfrazy cudowne Dehnel nam podaje (wszak i Goya malarz, i Dehnel też malarz), że wątek homoseksualny także jest obecny i – na ostatek – że to nie tylko o mężczyznach Goya, lecz także „o niejednej patriarchalnej rodzinie”, a może i (podpowiadają motta) o rodzinie samego autora. (To się okazuje zresztą niebagatelną dzieła zaletą, bo kręgi naszej politycznej krytyki wyzwolęcej atakowały dotąd Dehnela za rzekome „burżuazyjne prywycyki”, a teraz im nie wypada, gdy patriarchat w swej istocie obnażony zostaje).

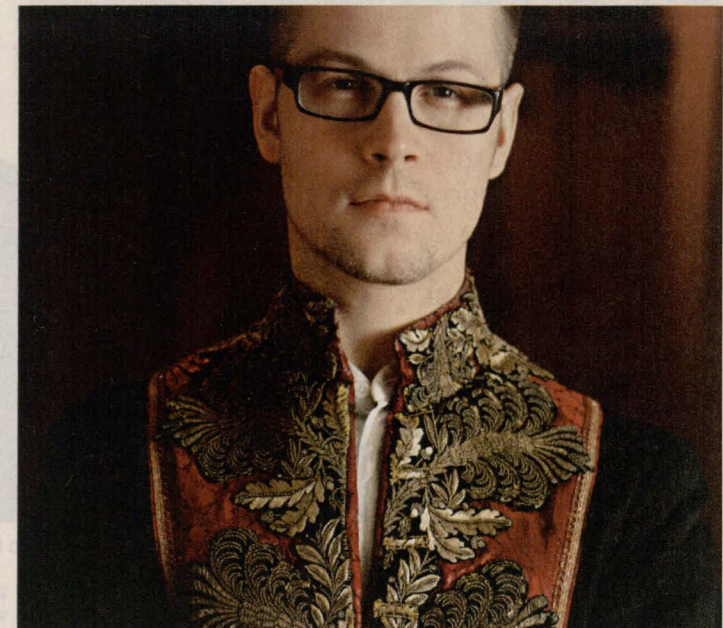
Tak czy inaczej, zbliżyłem się. Nie było łatwo, ale brałem, słysząc w duszy: nie dla ciebie to, profanie, nie dla ciebie, i czułem „wspólny wysiłek gałęzi opierających się jesiennemu wiatrowi” (s. 47) – tak mnie opierały się strony tej skądinąd gracko zaprojektowanej powieści. Nie przeczę: Dehnel przeczytał co trzeba i ładnie wszystko

obmyślił, ma jednak tę zdolność, że czego dotknie, to nieodmiennie obraca w cikliwy, nudny banał – tym bardziej cikliwy i banalny, im bardziej się natęży, by wystawić coś istotnie poważnego, groźnego czy dramatycznego. „I ta straszna prawda nagle utarowała sobie drogę do samego środka mojego serca, jak muszkietowa kula przechodząca przez miąższ arbuza, jak gwint żelaznych butów zagłębiający się w stopę przesłuchiwanego marańa” (s. 67). Cóż robić, takie życie. Właśnie, weźmy takie życie i zastanówmy się, jak też ono się toczy? Otóż „szeroko, szeroko rozlewa się życie: płynię, mleczne od księżycowej pełni, między porośniętymi lasem pagórkami i zdaje się bezkresne, swobodne; wiosną wylewające się szeroko, jesienią zmierzające prędko ku delcie różnorodnych zakończeń” (s. 92).

Ja zaś na zakończenie wyznam, iż skoro takie ma być językowe mistrzostwo, to czuję się jak samotny pies. (A wiem już, że „samotny pies jest psem nieszczęśliwym”, s. 156). I że rozpaczam. Podejrzewając, że „to rozpacz bowiem jest twardą pestką świata, która zostanie z gnijącego w słońcu owocu” (s. 139). „Ale komu można się zwierzyć z takich podejrzeń? Nawet nie samemu sobie, a co dopiero komuś innemu. Chyba tylko trzcinom nabrzeżnym, kamieniowi, łyzce” (s. 68). Kamieniowi, łyżko – wybaczczie.



cc  
Jacek Dehnel  
„Saturn. Czarne obrazy z życia mężczyzn z rodziny Goya”, W.A.B., Warszawa 2011, s. 272, 39,90 zł



Może byłoby lepiej – mówię to najpoważniej w świecie – gdyby Dehnel napisał konwencjonalną powieść pasterską

REKLAMA

Hałas z całego świata!

OFF FESTIVAL CLUB  
16.04 2011

KATOWICE  
16.04 2011

Merzbow [JPN]  
Kid606 [VEN]  
Niwea [PL]

16.04, godz. 19:00  
Kino Capitol, ul. Plebiscytowa 3, Katowice  
Bilety dostępne w sieciach: Ticketpro.pl Eventim.pl Ticketportal.pl



mBank  
mecenasa



organizatorzy



partner



patroni medialni



# Dola idola

„Somewhere. Między miejscami” to życie, z którego wycięto film

BARTOSZ ŻURAWIECKI

Sofia Coppola zatęskniła za sukcesem „Między słowami”. Jej nowy film to powrót do tamtego klimatu. Bohaterem znowu jest aktor, gwiazda tuzinkowego kina akcji Johnny Marco (Stephen Dorff) – prywatnie utracjusz, imprezowicz mieszający alkohol z tabletkami, który pomieszkuje w hotelach, zabija czas grami komputerowymi, a na noc sprząda sobie coraz to nowe dziewczyny. Po zejściu z planu filmowego zmienia się w męczący pasywnego, dryfującego bez celu przez życie. Dwa wydarzenia nieco zmieniają tor tego dryfowania – kontuzja ręki i konieczność zaopiekowania się 11-letnią córką



Obcy wśród fleszy – Stephen Dorff jako Marco (z prawej) w filmie Coppola

Cleo (Elle Fanning), owocem nieudanego związku.

Coppola celebrowa momenty zawieszenia, beczynności, monotonii, alienacji. Marco jedzie do Włoch na festiwal i – podobnie jak Bill Murray w Japonii – czuje się tam jak przybysz

z obcej planety: coś do niego mówią w niezrozumiałym języku, wypychają go przed flesze aparatów fotograficznych, obwożą po bankietach... A on mechanicznie się uśmiecha.

Hitchcock mawiał, że „kino to życie, z którego wycięto nudę”. Cop-

pola zbiera odrzucone w montażu fragmenty i klei z nich chwilami fascynujący film. Wspólne snucie się ojca i córki z kąta w kąt buduje między nimi poczucie bliskości i miłości. Coppola unika sentymentalnych klisz, nie sięga po morały. Nie wiemy, czy rodzinna komitywa będzie trwała, czy też przeminie z wiatrem, gdy Cleo wróci do matki, a Johnny do pracy.

Niektórzy dopatrują się w „Somewhere” rozrachunku Sofii z ojcem, słynnym Francisem Fordem Coppolą. Nie ma w tym jednak tonu oskarżycielskiego. To portret współczesnych nomadów – niezakorzenionych ani w rodzinie, ani w związku, ani w jednym miejscu, niekiedy gdzieś się zatrzymujących. Na jakiś czas.

\*\*\*\*

„Somewhere. Między miejscami”, reż. Sofia Coppola, USA 2010, 97 min, Forum Film, premiera 1 kwietnia

Zobacz zwiastun filmu na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

# Polska nienawiść

Przemysław Wojcieszek próbuje wzniecić rewolucję

Główny bohater „Made in Poland” Boguś, bezrobotny chłopak z blokowiska, na znak protestu przeciw społeczeństwu tatuuje sobie na czole napis *Fuck off* i rusza w miasto, by wszcząć rewolucję. Nie wiem, czy podobny napis podczas zdjęć nosił na czole Przemysław Wojcieszek, ale niezgodnie musiał zwracać się tymi słowami do ludzi finansujących tę produkcję. Jego dzieło bowiem nie przypomina większości filmów robionych w Polsce. Reżyser „Głośniejszy od bomb” między poruszone czarno-białe zdjęcia wmontowuje drapieżne czerwono-czarne animacje, wszystkiemu zaś towarzyszy świdrująca przesterowana muzyka gitarowa. Robi wszystko, by film oglądało się jak najmniej przyjemnie.

Za odważną formą nie poszła, niestety, treść. Polska w filmie Wojcieszka to kraj ekstremistów, którym reżyser oddaje głos, cytując wypowiedzi słuchaczy Radia Mary-

ja. Niby poruszane są w „Made in Poland” ważne tematy wykluczenia i dewaluacji wartości, ale wszystko pokazane jest z przymrużeniem oka. W efekcie film próbuje być polską odpowiedzią na „Nienawiść” Kassovitz, ale staje się typową komedią z galerią niewiarygodnych, przerysowanych indywiduów. Na barykadzie Boguś rusza wprost sprzed ołtarza, gdzie dopiero co służył jako ministrant, ścigający go mafiosi wcale nie są tacy straszni, na dodatek czytają Czechowa. O jego matce zaś wiemy tyle, że od młodości kocha się w Krzysztofie Krawczyku.

Mieszając tragedię z komedią potrafią nieelichni. W „Made in Poland” udało się to Januszowi Chabiorowi, który grając Wiktora, zapitego polskiego nauczyciela literatury, zapewne wiele resztę ekipy nauczycy.

KAROLINA PASTERNAK

\*\*\*

„Made in Poland”, reż. Przemysław Wojcieszek, Polska 2010, 90 min, Epelopol, premiera 25 marca

Zobacz zwiastun filmu na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

# „Protektor” na Przekroj.pl



Seksapil przydaje się na wojnie. Przynajmniej Hance z „Protektora”

Zwycięzcę ubiegłorocznej, trzeciej edycji festiwalu Off Plus Camera możecie już oglądać w serwisie Przekroj.pl.

Praga, przełom lat 30. i 40. Władze w mieście przejmują Niemcy, a Emil Urbata, spiker czeskiego radia, staje przed dylematem – pracować dla nazistów czy popaść w nielaskę u okupanta, narażając na śmiertelne niebezpieczeństwo żonę Żydówkę.

Robiąc filmy o Holocaustie, Czesi mieli dużo większą niż my lekkość w łączeniu sprzecznych postaw: heroizmu i kolaboracji, wielkoduszności i tchórzostwa. Jana Hřebejka ta umiejętność doprowadziła do Kodak Theatre, gdzie jego „Musimy so-

bie pomagać” walczyło o Oscara. W „Protektorze” czuć ducha tamtego filmu. Marek Najbrt poszedł w walce z czarno-białym pokazywaniem wojny w kinie nawet dalej. Żydowska bohaterka to przedwojenna gwiazda. Gdy nazisci zakazują jej bywać w miejscach, w których dawniej brylowała, wkłada blond perukę, rusza w miasto i każe fotografować się wszędzie tam, gdzie Żydom zakazano wstępu. To się nazywa piękna prowokacja! Aż żal, że ta historia nie wydarzyła się naprawdę... KP

Zobacz pełną wersję filmu na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w „Przekroju” na iPadzie

# Przezroczyści

W Teatrze Imka „Wodzirejowi” stępieno kły

JACEK WAKAR

Generalnie pomysł jest dobry: pokazać PRL bez nostalgii, sprawdzić, co z tamtych czasów przetrwało nie tyle wokół nas, ile w nas. W dalszej perspektywie Imka planuje spektakle o generale Jaruzelskim i kosmonaucie Hermaszewskim; teraz na pierwszy ogień poszła wariacja na temat legendarnego „Wodzireja” Feliksa Falka. Uwaga, falstart!

Znam niewiele filmów, które tak fantastycznie przetrwały próbę czasu. Nakręcony 34 lata temu „Wodzirej” to wciąż kino nowoczesne, mocne w rytmie, precyzyjne w scenariuszu, gorzkie jak piołun, w najlepszym tego słowa znaczeniu eklektyczne. A rola

Jerzego Stuhra? Kłękajcie, narody! Dlatego wyjścia są dwa: albo zostawić dzieło Falka w spokoju i tylko raz na jakiś czas je sobie przypominać, albo – kiedy już młodych twórców przypili – spróbować uderzyć jeszcze mocniej. Choćby przenosząc akcję w świat telewizyjnej rozrywki naszych czasów, na korporacyjne korytarze, do gabinetów medialnych bonzów. No i pokazać dzisiejsze wcielenie Lutka Danielaka – kanałią nowego chowu.

Tymczasem Remigiusz Brzyk popełnia podstawowy grzech dzisiejszego „progresywnego” teatru. Zamiast złapać widzów za twarz i dać coś w rodzaju thrilleru o nowej Polsce, opowiada beznamiętnie i leniwie szczytki z „Wodzireja” pozostałe po obróbce dokonanej przez reżysera z dramaturgiem. Zamiast akcji są rozlądle sekwencje przypominające lekcje na temat „jak osiągnąć sukces”. Postaci wprawdzie noszą nazwiska bohaterów filmu, ale trudno zrozumieć ich motywacje albo przeniknąć charaktery. Może dlatego, że pod ręką Brzy-



Wodzirej Wojtko Błacha zaczął od wanny, skończył na lodzie

ka stały się zadziwiająco wyblakłe, przezroczyście. Lutek Danielak w interpretacji Wojciecha Błacha wydaje się nienaturalnie zgaszony, defensywny, przestraszony. Zapewne z woli reżysera, bo są dwa momenty, kiedy coś w nim pęka. Napędza się własną wściekłością i wtedy widać, że w innym spektaklu może i zagrałby Danielaka. W tym jednak broni się jedynie to, co przeniesiono wprost z filmu Falka. Chociażby scena, w której dawna kadrowa zgadza się oczernić rywala Lutka, pod warunkiem że ten się z nią

prześpi. Najczystszy handel. Reszta dowodzi, że młody teatr najmocniejszy jest w gadaniu o sobie. Gdy dojdzie co do czego, nawet „Wodzirejowi” bez problemu stępi kły.

cc

„Wodzirej” Feliksa Falka, reżyseria Remigiusz Brzyk, adaptacja i dramaturgia Tomasz Śpiewak, muzyka Jacek Grudzień, scenografia Anna Maria Karczmarska, Teatr Imka w Warszawie

# Przepis na popis

Kleczewska z Passinim reżyserują studentów

Dawno już nie było tak udanych spektakli ze szkół teatralnych. Maja Kleczewska i Paweł Passini debiutujący w roli pedagogów nie tyle chcą dać studentom szansę na aktorski popis, ile szukają w nich materiału na postaci ze swojego teatru.

W „Yermie” Passini zamienia trawicę bohaterkę pragnienie posiadania dziecka na pożądanie mężczyzny – narodziny mają być tylko nagrodą za rozkosz. Zimny świat kobiet dopiero w snach i wizjach Yermi (Agata Góral) zmienia się w rytuał płodności. Reżyser zaskakuje twardym i nieprzyjemnym montażem dwóch stylów gry. Psychologia i realizm scen dialogowych ustępują miejsca sekwencjom muzycznym: część monologów Yermi śpiewają chłopaki z zespołu rockowego złożonego z aktorów (Mateusz Banasiuk, Igor Obłoz) i samego reżysera. Półnady, schowani za matową szybą tworzą zakazaną dla kobiet strefę męskiej wspólnoty. Ich muzyka jest jasna i radosna w przeciwieństwie do zawziętego mroku otaczającego Yermę i jej towarzyszkę wyłaniającą się z lodowatej zapadni małżeństwa.

W „Babel 2” Kleczewska buduje z niewykorzystanych strzępów utwo-

ru Jelinek seans fałszywych spowiedzi jedenaściora aktorów. W pokoju pełnym ekranów i popkulturowych śmieci kotłują się wstydy i nienasyce, uzależnienia i fobie. Dziewczyna wygłasza monolog, pieszcząc usta kuchennym nożem, inna w bulimicznym ataku pożera surowe mięso. Widzimy fizjologię ciąży i nędrę macierzyństwa. Reżyserka radykalnie otwiera każdego z młodych, uczy, jak równocześnie grać „bebechami” i „formą”. Wyróżniłbym tu Marię Dejmek, Marcina Kowalczyka, Dawida Ogrodnika i Huberta Podgórskiego. Przypomniały mi się czasy, kiedy Lupa i Jarocki z konwencjonalnych dyplomów potrafili czynić wydarzenia teatralne.

LUKASZ DREWNIAK

\*\*\*\*

„Yerma” Federica Garcii Lorki, reżyseria, scenariusz, muzyka Paweł Passini, scenografia Zuzanna Srebrna, Teatr Collegium Nobilium w Warszawie

\*\*\*\*\*

„Babel 2” Elfriede Jelinek, reżyseria Maja Kleczewska, scenografia Katarzyna Borkowska, Teatr Studentów PWST w Krakowie

REKLAMA

**BLISCY NIEZNAJOMI** 135 Teatr Polski w Poznaniu

11-17 kwietnia 2011 Europejskie Spotkania Teatralne

**CLOSE STRANGERS**  
European Theatre Encounters

**Herosi i Heroiny**

[www.bliscynieznajomi.pl](http://www.bliscynieznajomi.pl)

RUMUŃSKI INSTYTUT KULTURY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POZNAŃ \*Miasto Nowe





Takie koncepcje jak adaptowanie reguł RPG do oczekiwań amatorów gier akcji powinno się wypalać żywym ogniem. Żadnej litości dla tego plugawstwa

# Ni smok, ni traszka

Świat się kończy. Ale nie dlatego, że wraży pomiot znów zagraża ludziom, elfom i krasnoludom. BioWare, studio wielce zasłużone dla rozwoju gatunku RPG, w „Dragon Age II” podkula ogon i zmyka na upatrzone pozycje

Isza. Nikt z ekipy BioWare tym razem ani pisał, jak to miało miejsce przy okazji premiery pierwszej części sagi „Dragon Age. Początek” (2009), że „wskrzesza ducha wielkich klasycznych gier fabularnych” z wiekopomnym „Baldur’s Gate” na czele. A jeśli nawet pisał, to niczym mysz udająca słonia – z nerwowym chichotem, cichutko. Echo w każdym razie nie poszło po kniei.

To nie jest zła gra. Problem w tym, że zawodzi nadzieje zadeklarowanych

miłośników gatunku RPG. Uproszczone system dialogowy na wzór kontrowersyjnego rozwiązania znanego z serii „Mass Effect”. Zdjęto z ramion gracza słodki ciężar ciągłej kontroli poczynań członków prowadzonej drużyny – generalnie bez niańki radzą sobie całkiem dobrze. Walki z napotykanymi co krok przeciwnikami imponują dynamiką, ale w dużej mierze straciły charakter taktyczny – nie można nawet podnieść kamery na wysokość umożliwiającą pełny ogląd pola bitwy. Wirtualny

obiektyw domyślnie śledzi z bliska głównego bohatera, małąmówną machinę zagłady. Szaleńcy nazywają to podążaniem za duchem czasu, koneserzy gier fabularnych tąpają się za głowy. Nie tego oczekiwali od nastorów tego zacnego gatunku, projektantów z BioWare.

„Dragon Age II”, choć ma sporo zalet – w tym tak istotną jak umiejętność prowadzenie słuchacza przez zajmującą historię (zgrabnie użyty tryb retrospekcji) – w istocie jest krokiem wstecz. Zbyt wiele upraszcza. Ewi-

dentnie w zbytnim pośpiechu był robiony; niewiele tu miejsc do zwiedzania, a przecież przyprawiająca o dreszczyk i zachwyty eksploracja ruin, lochów, tajemniczych lasów, ukrytych w nich osad to jedna z największych przyjemności w klasycznych grach RPG. „DAII” prezentuje się nader skromnie. Przy imponującym bogactwem detali „Wiedźmi- nie z” (patrz nasza relacja sprzed tygodnia) wypada jak ubogi krewny.

Paradoksalnie najgorsze jest to, że „Dragon Age II” mimo tych ułomności nie okazał się katastrofą. Pozostawia niedosyt, a jednak potrafi wciągnąć. Jeśli to RPG wagi muszej trafi w masowe gusta i trend się utrzyma, za parę lat za grę fabularną uznany zostanie jakiś klon „FarmVille” z Facebooka.

OLAF SZEWCZYK  
„Dragon Age II”, BioWare, EA, PC, PS3, X360

# ROZMAITOŚCI

## KAWKA I PAPIEROSKI



Marzena, Zbigniew i Kraków. Rozmowy przy kawie i (wciąż jeszcze legalnych) papierosach. Nowy serial Kawka i Papieroski z aktorskimi kreacjami Iwony Sitkowskiej i Jakuba Bohosiewicza co tydzień na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w aplikacji „Przekroju” na iPadzie dostępnej w App Store

## TWÓJ PRZEKRÓJ

Fiodora Dostojewskiego narysowała 26-letnia Maria Stańska-Nowicka, warszawianka i aktorka. Na scenie Studia Teatralnego przy Teatrze GO od 13 lat. Rysowanie to dla niej pasja i hobby, choć zdarza jej się na nim zarobić.



Zdolny i młody (duchem, a nawet ciałem) Czytelniku. Malujesz? Komponujesz? Fotografujesz? Piszesz? Po prostu tworzysz? „Twój Przekrój” to miejsce dla Ciebie. Wyślij nam swoje prace i pochwal się. Może nawet coś opublikujemy. Czekamy na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) i pod adresem [twoj@przekroj.pl](mailto:twoj@przekroj.pl)

## JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

# Pascha najlepsza w poście

Jadłem dziś obiad z panią Anną Poppek. Słuchałem jej opowieści o przyjętym przez nią tego roku przygotowaniu do czasu postu, a właściwie nawet powitaniu tegoż. Ułożyła sobie orkiszową dietę na czas tygodniowego pobytu w tynieckim klasztorze. Orkisz był naturalnie tylko pretekstem towarzyszącym skupieniu i wyciszeniu. Ja trafiłem na czas już poorkiszowy. Jedliśmy drob. Ja smażyłem sznyצל z kurczaka z mizerią, ona kurę po francusku duszoną w czerwonym winie. Potem przyszedł czas na deser... Deser tego czasu...



100 gramów migdałów i orzechów włoskich parzymy, obieramy ze skórki i siekamy. Pół kilo słodkiego tłustego twarogu przecieramy przez sito. W makutrze ucieramy trzy żółtka ze 150 gramami cukru, dodajemy do nich trzy łyżki śmietany kremówki i ogrzewamy do temperatury 85 stopni, cały czas mieszając. Na koniec dodajemy 100 gramów masła, wrzucamy

do makutry przetrąty ser, rodzynki, orzechy i migdały. Dodajemy mięsz z jednej łaski wanilii. Gotową masę wkładamy do formy z otworami lub durszlaka wyłożonego płócienną serwetką. Zawijamy w nią masę, dociskamy mocno ciężkim naczyniem. Stawiamy w chłodnym miejscu. Pascha jest gotowa na drugi dzień. Polewamy ją stopioną czekoladą. Pierwszą paschę w życiu zjadłem w żydowskiej restauracji Amiko w Warszawie przy ulicy Kredytowej w latach 60. Chodziłem tam z ojcem na obiady. Uwielbiałem

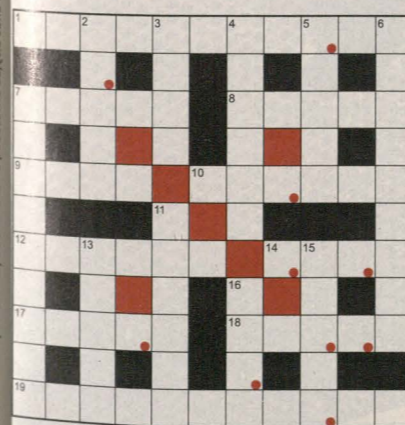
to miejsce i kelnera, pana Stanisława, którego dialogi z moim tatą były jak z „Dnia Świstaka”, zawsze te same. Ojciec długo studiował kartę, wybierał dania dla mnie i dla siebie. Mówił o nich panu Stanisławowi, a ten na to: Panie Gessler, nie to... Panowie będą jedli dziś... I wymieniał dania dla nas, kończąc swoją opowieść zdaniem: Ja przecież wiem najlepiej, co dziś jest dobre w kuchni. Tak więc któregoś dnia najlepsza w kuchni była pascha. Oj, najlepsza! I u nas dziś też ona jest najlepsza. Proszę spróbować.

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

## KRZYŻÓWKA NR 13

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



Nagrodą w tym tygodniu jest płyta Marcin Wasilewski Trio „Faithful” (ECM/Universal Music Polska)

Rozwiąż krzyżówkę i przesyłaj do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 13”.

### POZIOMO:

1. CHALUPA W CHALUPACH LUB OBORA W OBORACH
7. NIE MA WOLNOŚCI POZA CHINAMI
8. MAJTEK W CZASIE SZTORMU
9. JEDNO Z 10
10. PROSTO DO KROWY
12. Z KALENDARZA SB
14. ZAPŁADNIA KOBIETY I MĘŻCZYŹN
17. PRZY LUDZIE
18. WYKORZYSTYWANY W PRZEM.
19. CZASEM SIĘ NIE ZGADZA

### PIONOWO:

2. PŁACHTA NA JELENIA
3. NA SŁODKO I NA ZIMNO
4. OBIBAK
5. PITY NA ZDROWIE
6. ZESPÓŁ HIP HIPOWY
7. DOBROCZYNNOŚĆ
11. DAJE BANIE
13. O CZERWONYM KAPTURKU
15. HASŁO Z KLUCZEM
16. GDY CHCESZ DOBRZE WYGLĄDAĆ

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 3 kwietnia 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto. Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

BRACIA M  
BARTOSZ I TOMASZ MIKIEWICZ  
[WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER](http://WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERBOHATER)



REKLAMA

## INTERPRETACJE

XIII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL SZTUKI REŻYSERSKIEJ



[www.festiwal-interpretacje.pl](http://www.festiwal-interpretacje.pl)

27.03.2011, godz. 18.00  
**BABEL**  
Teatr Polski z Bydgoszczy

29.03.2011, godz. 18.00  
**AMFITRION**  
Narodowy Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej z Krakowa

29.03.2011, godz. 20.30  
**ŁYSEK Z POKŁADU IDY**  
Teatr Dramatyczny z Wałbrzycha

30.03.2011, godz. 18.00  
**SOLARIS**  
TR Warszawa

31.03.2011, godz. 18.00  
**IWONA, KSIĘŻNICZKA BURGUNDA**  
Teatr Śląski w Katowicach

31.03.2011, godz. 21.00  
**SPRZEDAWCY GUMEK**  
Teatr IMKA z Warszawy

1.04.2011, godz. 18.00  
**SEN NOCY LETNIEJ**  
Teatr Polski z Wrocławia

2.3.04.2011, godz. 18.00  
**TANGO**  
Teatr Narodowy z Warszawy

Imprezy towarzyszące:

28.03.2011, godz. 20.00  
**SEKIERA! TANCE POLSKIE W TONACJI PUNK**

Teatr Łaźnia Nowa z Krakowa

30.03.2011, godz. 21.00  
**CIEPLAK / SZAZA - O NIEWIEDZY, CZYLI ROWEREM DO PORTUGALII**

1.04.2011, godz. 21.00  
**NOŻE W KURACH**  
Teatr im. S. Jaracza z Olsztyna

Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach, ul. Rynek 2  
Teatr Rozrywki w Chorzowie, ul. M. Konopnickiej 1  
Studio Telewizyjni Katowice, ul. Teleszyńska 1  
Dawna kopalnia „Katowice”, ul. Kopalniania 6 (teren budowy nowego Muzeum Śląskiego)

Organizatorzy:



Współorganizatorzy:



mgr. Katarzyna Leszczyńska na podstawie zdjęć: Jolanta Dopaczka/Przekrój





Mieszamy drogie z tanim: pierwsze i trzecie z lewej etui ma luksusowe logo Salvatore Ferragamo, drugie i czwarte – tanie firmy Burton

## Nawróceni piłą łańcuchową

Kto wie, ilu nastolatków znalazło Boga w szafie, gdzie chowali się przed Freddyem Kruegerem



ŁUKASZ ORBITOWSKI

**A**nthony Hopkins staje do walki z samym szatanem. „Rytuła” Mikaela Häfströma to bynajmniej nie zwykły horror, lecz świadectwo prawdy zrealizowane za 30 milionów dolarów. Ojciec Gary Thomas, konsultant produkcji, chwalił dzieło za „stworzenie pozytywnego wizerunku Kościoła i mocne świadectwo wiary”. A nie jest on szeregowym księdzem, lecz zawodowcem wprawionym w diabelskich sprawkach, który wypędził demony z co najmniej pięciu nieszczęślików, a do tego emanuje aurą kompetentnego inteligenta o przyjemnym spojrzeniu. Jego osoba, temat oraz postać Hopkinsa zapowiadały coś niezwykłego.

Obecnie stworzenie filmu o opętaniu jest jednak zadaniem, przy którym przeobrażenie „Stroszka” na komedię slapstickową wydaje się fraszką. Dzieje się tak ze względu na siarczysty oddech dzieł przeszłych. Nie tylko zdarzył się „Egzorcysta”, czyli perfekcyjne straszdyło, ale jeszcze ponad trzy dekady później fenomen się powtórzył za sprawą doskonałych „Egzorcyzmów Emily Rose”. Innymi słowy: ziściło się niemożliwe, wstąpiono dwa razy do tej samej rzeki i znaleziono złoto, wskutek czego tabuny epigonów brodzą, taplają się i skaczą na durne głowy w nadziei, że cud nastąpi po raz trzeci. Nie lepiej od razu wystawić głowę na kopniaki?

W odróżnieniu od wielkich poprzedników „Rytuła” sam przypomina diabelską mowę przekutą tylko na obraz i dźwięk. Jak wiemy, szatan, znalazłszy frajera, klaru-

je mu o najróżniejszych wspaniałościach, odpowiada na wszelkie pytania i wróży z klekoczącej szczęki, co zebrane razem jest jedną wielką błagą obliczoną na ztracenie duszy. Tu podobnie, choć w mniejszej skali – tracimy jedynie pieniądze wydane na bilet do kina.

Ta łaźwa historia zyskuje jednak odrobinę wartości jako reprezentacja metody, za której sprawą zdemoralizowana, bezbożna popkultura zwraca się przeciw samej sobie. Już „Egzorcysta” pozostawał w zgodzie z nauczaniem Kościoła i cały film można odebrać jako wielkie ostrzeżenie przed wywoływaniem duchów, od którego zaczyna się cała awantura. Opowieść o Emily Rose jest wariacją na temat prawdziwego opętania niejakiej Anneliese Michaels. W przypadku „Rytuła” jest jeszcze lepiej – film powstał na podstawie „The Rite: The Making of a Modern Exorcist” autorstwa dziennikarza Matta Baglio dokumentującej warunki pracy współczesnych egzorcystów. Nie mniej wnikać w intencje twórców, być może są bezbożni aż po szpik swój smolisty: wydaje się jednak, że diabeł potraktowany serio nie zna innego kostiumu niż kościelny, nie sposób go przedstawić inaczej niż jako słabego sukinsyna miotającego kłatwy i drżącego przed krzyżem. Foremki stworzone w Watykanie są w tym wypadku zbyt twarde, by mogły ulec rozbiciu, i potężny Hollywood musi nagiąć karku.

Gdybym podjął wysiłek ewangelizowania siebie i innych, nie znajduję obecnie lepszego narzędzia niż horror, w którym wampir boi się krzyża, a szatan nie może wejść do kościoła. Tylko tam starcie sił boskich i diabelskich jest jeszcze traktowane poważnie. Zawodzą kaznodzieje i muzyka chrześcijańska, lecz kto wie, ilu nastolatków znalazło Boga w szafie, gdzie chowali się przed Freddyem Kruegerem. W „Rytuale” siły zła stanęły jednak okoniem. Diabeł przywykły do pieszczoł ze strony Marilyn Manson i rozneglizowanych gwiazdek postawił weto i wywiódł na pokuszenie szarych kinomanów: ci poszli na co innego lub pozostali w domach, wskutek czego film jest kłapą, a my będziemy zgubieni.

rys. Katarzyna Leszczyńska na podstawie zdjęcia Marka Szczańskiego

ŁADNE RZECZY

# By iPad nie padł

Dbaj o tableta swego jak o siebie samego

OLA SALWA



**N**owe czasy wymagają niekiedy nowych zasad. Czy raczej – jakbyśmy nowocześnie powiedzieli – trzeba zrobić upgrade 10 przykazań, które z pewnością były funkcjonalne kilka tysięcy lat temu przy gorejących krzakach, bo dziś, w cieniu wieżowców i w korytarzach metra, są niewystarczające. Szczególnie te o pożądaniu cudzych żon i rzeczy wydają się nieadekwatne. Po pierwsze, są szowinistyczne, po drugie, przestarzałe – jeśli zapragniesz posiadać to, co mają bliźni, idziesz do sklepu i płacisz za to swoją kartą kredytową.

Naprawdę potrzebne zasady dotyczą nawigacji w coraz bardziej komplikującym się świecie, gdzie naturalnie faworyzowane są osobniki wielozadaniowe, czyli mogące robić kilka rzeczy jednocześnie. Gdy więc trafimy na przedmiot, który jak iPad chce nam to zadanie ułatwić, należy stworzyć dla niego protokół opieki. W tych rzadkich chwilach odpoczynku nasz domowy tablet powinien lądować w miękkim i przytulnym futerale, bo ina-



Bacność! iGuy Standing Cover (lewy górny róg) utrzyma naszego iPada w poziomie. Jeśli chcesz unowocześnić swój tablet, wygraweruj go (u góry) lub włóż w etui CrystalRoc (z prawej)

czej będzie narażony na pęknięcia wyświetlacza, inwazję jednostek kurzu, a w końcu na awarię. A wtedy my pozostaniemy na świecie kompletnie bezradni, jak ślepiec i kulawy w jednym – w końcu nasz iPad ma być z nami wszędzie: w samolocie, w pociągu, w kolejce na pocztę (naturalnie do czasu, gdy Apple wprowadzi aplikację umożliwiającą komunikację z listonoszem chcącym doręczyć nam awizo zamiast przesyłki).

Dzięki tabletowi nie znamujemy nawet jednej wolnej minuty, bo będziemy ją mogli przeznaczyć na doczytywanie newsów z Internetu (książki będą dla snobujących się posiadaczy czytnika Kindle), obejrzeć kolejny fragment filmu lub serialu, zameldować znajomym, co właśnie robimy, albo wysłać im zdjęcie brzydkiego drzewa. Niedługo iPad stanie się naszym najbliższym przyjacielem, bo najlepiej będzie realizował naszą potrzebę niustannego przełączania się z jednej czynności na drugą oraz przymus zdobywania nowych informacji. Zapewne kiedyś naukowcy uznają tę ostatnią czynność za pozostałość instynktu łowieckiego. Zresztą dziś pożywienie najprościej upolować właśnie przez iPada – wystarczy złożyć zamówienie w e-spożywcaku. ●

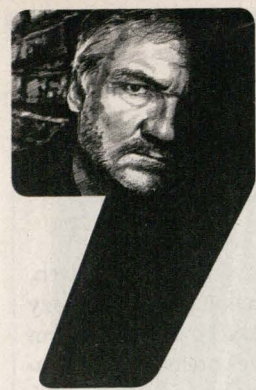


NO ŁADNIE!

### Powrót do przeszłości

**E**śli stęsknimy się za epoką, gdy nikt jeszcze nie słyszał o ekranach dotykowych, a telefony komórkowe o rozmiarach i wadze cegły przechodziły pierwsze testy, oszukajmy czas. Gdy włożymy naszego iPada w obudowę iCade, zmieni się on w automat do gry w „Arcade”, który królował w latach 80., co łatwo możecie sprawdzić, oglądając film „Tron”. Przesławianie wajchy i wciskanie guzików – informacja z obudowy zostanie przesłana na iPada bezprzewodowo – pozwoli się zregenerować nadwyrażonym opuszkom naszych palców.





**Ksiądz pechowiec. Zawsze coś mu się trafiało: a to biret z brawurową zawadiackością na bakier założony, a to potknie się biedaczysko i zupełnym cudem na zbity pysk z kazalnicy nie zleci**

## 16 MARCA

Kontynuuję opowieść o księdzu pastarce Brüllu. Bliższy – jak już wspominałem – kontakt zdarzył się nam w pewien Wielki Piątek w krakowskim kościele ewangelickim. Oczywiście nie jestem w stanie nie dać w tym miejscu kaśliwo-dygresyjnej uwagi, że wbrew temu, co się dość powszechnie sądzi, my, ewangelicy, nie tylko uznajemy Wielki Piątek, ale wręcz dzień ten jest u nas największym świętem. Do tego stopnia, że za młodu nawet mnie matka niekiedy zmuszała do udziału w wielkopiątkowej komunii. Żle mówię, w protestantyzmie przymus jest okolicznością tak wszechogarniającą, że w zasadzie jest nieobecny, nie może ci przyjść do głowy, iż nie idziesz do kościoła; nie iść do kościoła w Wielki Piątek – na takie wyrażenia nie ma głosu w luterańskim języku.

Tamtę feralną Wielkiego Piątku w Krakowie komunię sprawował nie kto inny, tylko ksiądz Tomasz właśnie. Nie wspominałem jeszcze, że wśród jego przenajzróżniejszych osobliwych cech był też specjalny sposób poruszania się, gestykulacji, manualna nieporadność, i to nieporadność dość zupełna. Słowem: był to też, przy wszystkich swych atrakcjach, kapłan niezgrabiasz. Kapłan jajcarz, bezwiedny, bo bezwiedny, ale jajcarz. Zawsze coś mu się trafiało: a to wkraczał przed ołtarz z pełną powagą, ale w todze nieoczekiwanie frywolnie podwinętej w miejscu, ma się rozumieć, najryzykowniejszym z możliwych; a to biret z brawurową zawadiackością na bakier założony, a to potknie się biedaczysko i zupełnym cudem na zbity pysk z kazalnicy nie zleci – cała masa klasycznych, jakże przez parafian uwielbianych, gagów. Kiedy ksiądz Brüll odprawiał nabożeństwo, na ogół było wiadomo, że świętość będzie nie tylko święta, ale i barwna.

A tu była sytuacja nie tylko najwyższego wielkopiątkowego skupienia wymagająca, ale i elementarnej zręczności; trzeba było tłumowi (w Wielki Piątek nawet w Polsce trafiają się tłumy luteranów) wiernych kolejno opła-

tek podawać i odrobiną wina z dzbana – brzeg naczynia za każdym razem serwetą wytarłszy – poić, ergo dzban przechylać. Niby pestka, niby banał zupełny, niby nawet dla średnio sprawnego nic trudnego, ale odkąd moje własne ręce wydostały się na swobodę, doskonale rozumiem, w jakich napięciach musiał w takich sytuacjach bywać świętej pamięci Tomasz Manfred. Był to na kolejny dodatek kapłan poważnie wierzący, znawca teologii, więc na jakąś sytuacyjną, doraźnie wymodloną – spraw, Panie, bym dziś jakichś jaj przy ołtarzu nie uczynił – pomoc Opatrzności za bardzo nie liczył.

Wybranką Boga okazała się – jak zwykle – moja matka. Ciało Pańskie podano jej w należytą objętości, ale krwią Pańską to jej ksiądz swą rozdygotaną i najwyraźniej już zmęczoną ręką lunął od serca; może nie całe matczyńskie od stóp do głów, ale kosztowny zakiet i wytworna bluzka mokre doszczętnie. Ksiądz Brüll stropił się niebywale, luterańska wiara popłoch podszyty śmiechem, a może na odwrót, stłumiła, co było robić? Wielki Piątek szedł pełną parą, cud natychmiastowego wyschnięcia z monotonnym uporem wszystkich niezdarzonych cudów się nie zdarzało. Co było robić? Wracaliśmy jak zawsze do domu wielnym bulwarem, wokół pełno spacerowiczów, turystów czy innych katolików, a od matki jak z gorzelni jechało. Tym bardziej że wytworna bluzka zdobna była z przodu w sutą falbanę i teraz ta falbana – samo wińsko. Żle! Bardzo źle. Tym gorzej że skonfundowana całym wydarzeniem do zupełnych granic matka ledwo laźła. Niejeden mógł pomyśleć: kobiecina zatacza się lekko.

## 18 MARCA

Jeśli nie chcesz wpaść w czarną dziurę, nie chwal się jej omijaniem. Jeśli nie chcesz, by dziennik przeistoczył ci się w przegląd prasy, nie czytaj gazet i zwłaszcza o nich nie pisz; nie jest to specjalnie trudne. Na ogół – mimo pozorów wysokiej temperatury życia publicystycznego – nie ma o czym pisać ani

co czytać. Bywają jednak wyjątki, one są najważniejsze, dla nich, dla ich dostrzeżenia trzeba omiać mało wartą resztę.

## 19 MARCA

W „Tygodniku Powszechnym” (nr 12) warta wysokiej uwagi bezlitosna analiza dzisiejszego „rozumu młodzieżowego” pióra Jana Hartmana. „Jeśli dawniej grzeczne pensjonarki i kawalerowie powtarzali za swymi nauczycielami rzeczy jakoś znośne intelektualnie i etycznie, to ich dzisiejsi rówieśnicy torturują siebie i nas trywialnym, bezmyślnym nihilizmem, wypranym z jakiegokolwiek idei moralnej i pozbawionym krztyny krytycyzmu – powiada Hartman i nie bez literackiego błysku rekonstruuje trywialne stany dzisiejszej świadomości. – Czy Bóg istnieje? Chyba istnieje, tak, na pewno istnieje. W każdym razie każdy ma prawo wyobrażać sobie Boga po swojemu i z Nim rozmawiać. To jest subiektywne. Nikt nie wie, co będzie po śmierci, ale na pewno coś będzie. Każdy może mieć swoje zdanie na ten temat. To też jest subiektywne. Na razie jesteśmy na tym świecie, a ten świat składa się z atomów. Fizyka mówi o tym, jak ten świat powstał. Ale może to Bóg go stworzył – tego nie wiadomo do końca. Istnieje »coś wyższego«, ale co to dokładnie jest – nie wiadomo i każdy może o tym różnie myśleć. Myśli są sprawą osobistą, subiektywną. Jak czegoś nie można zobaczyć, to tego nie ma tak naprawdę i nie może być żadnych dowodów na to. Można w coś takiego nieistniejącego, czego nie można zobaczyć, wierzyć, ale to jest subiektywne. Nauka mówi o atomach i innych faktach obiektywnych i służy do tego, żeby się nam lepiej żyło, żeby były wynalazki. Nauka coś odkrywa, a potem się to stosuje. Naukowcem był na przykład Kopernik. Naukowcy mają umysły ściśle, a my jesteśmy raczej humanistami, z matematyki mieliśmy trochę, a z polskiego zawsze dobre stopnie”.

Najchętniej przytoczyłbym całość obszernego tekstu, który zresztą mógłby być jeszcze obszerniejszy; wyrazisty i groteskowy monolog dzisiejszego łba pustego w pisarskim zasięgu autora jest bez wątpienia. Trochę konkretów, zmiana Kopernika na Einsteina, jakiś minimalny szkielet fabularny i rzecz będzie nie tylko gotowa, ale i ważna.

Specjalnie Hartmana rozwściecza dzisiejszy terror „własnego zdania”. Znam ten terror, znam go dobrze i od strony jeszcze krwawszej przez parę lat – pożałuj Boże – nauczałem literatury. Cdn.



Fot. Getty/FPM

## Księżę i potwór

Historia o tym, co wynurza się z jeziora Loch Ness

KUBA DĄBROWSKI

**S**zkocja, wiosna 1933 roku. Przebywający na wakacjach członekowie rodziny Spicerów rozpowiadają, że kiedy przejeżdżali wzdłuż jeziora Loch Ness, drogę przebiegł im potwór. Miał około metra wysokości i aż osiem metrów długości. Przy pominaniu trochę smoka, a trochę dinozaura i niósł w paszczy upolowane zwierzę. Rewelacje publikuje lokalna gazeta. Do redakcji zaczynają zgłaszać się kolejne osoby, które widziały tajemnicze monstrum. Nad jezioro zjeżdżają ekspedycje poszukiwawcze. Miejscowe władze, wierząc, że „potworem” może być okaz prehistorycznego zwierzęcia, ogłaszają zakaz polowania.

W wir wydarzeń swojego korespondenta wysła również bulwarówka „Daily Mail”. Marmaduke Wetherell, zwany Księciem, to bon vivant i podróżnik. Nad jeziorem trafia na odcisnięte w błocie ślady stóp ogromnego zwierzęcia. Pobrane gipsowe odlewy trafiają do analizy, a redakcja, nie czekając na wyniki badań, ogłasza sukces. Po tygodniu okazuje się, że tajemnicze ślady została podstawa pod parasol plażowy wykonana z zasuszonej stopy hipopotama. „Daily Mail” wyśmiewa Księcia. Ten poprzysięga zemstę.

Upokorzony łowca przygód wspólnie z synem i pasierbem organizują spisek.

Do zabawkowej łodzi podwodnej doklejają zrobioną z drewna, wzorowaną na anatomii dinozaurów szyję i głowę. Wypuszczają konstrukcję na środek jeziora i fotografują. Naświetloną rolkę filmu wysyłają do Londynu do zaprzyjaźnionego chirurga Roberta Wilsona. Szanowany obywatel ma uwiarygodnić całą operację. Wilson wywołuje klisze pod swoim nazwiskiem i zgłasza się do „Daily Mail”. Opowiada, że wybrał się nad Loch Ness fotografować ptaki, ale zamiast ptaków zobaczył, co zobaczył, i sam nie wie, co o tym sądzić. Jako poważany doktor prosi redakcję o nieujawnianie personaliów. Gazeta publikuje sensacyjne zdjęcie na pierwszej stronie. Fotograficzni eksperci nie dopatrują się fotomontażu.

Prawda wychodzi na jaw dopiero w roku 1994. Zafascynowany potworem emerytowany nauczyciel angielskiego i domorosły detektyw Alastair Boyd dociera do 90-letniego wówczas uczestniczącego w spisku pasierba Księcia, a ten przyznaje się do wszystkiego. ●



# KAMIENCE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska



[www.mieszkaniowy.as](http://www.mieszkaniowy.as)

biuro sprzedaży:  
ul. Wrocławska 55, Kraków  
tel. 12 633 86 40

RACZKOWSKI  
NA KONIEC



## RETROSPEKcja

Zapraszamy do maszynny czasu. Elle, Mirożek, Lengren, Kerr, a także artykuly, rozmatności z myszką i z łezką w oku czekają.

**O WACUSIU**  
— Prawo broni tych, którzy nie są w stanie obronić się sami. Dlatego prawo zakazuje mieć więcej niż jedną żonę.

„Przekrój” z 13 LIPCA 1969 ROKU

**NA „PRZEKROJ”**  
„Przekrój” i „złoty pan do pana, co stał przy szlachetach i sprzedawał „przekroje”, a było to w maju. Pan pana źle zrozumiał, przekrójcał facela na dwie części, panowie. Oj, stosunki w kraju. Kig.

„Przekrój” z 14 LIPCA 1946 ROKU

Archivalne numery „Przekroju” można przeczytać na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl) oraz w aplikacji „Przekrój” na iPadzie dostępniej w App Store

## NIE TAK: JANEK KOZA



„Przekrój” z 7 STYCZNIA 1948 ROKU

**MYŚLNIK KRZYSZTOFA BILICY**  
Stabemu grozi się pięścią, silnemu – palcem.



**KINOTEATRZYK PRZEMKA JURKA**

Made in Poland

W roli zdeperowanego, zięlącego nienawistną BOGUSIA występuje autor. Spektakl wyjącznie dla widzów dorosłych. Drastyczne słownictwo. Intensywny efekt katharsis Bogusi:  
(Wstaje pewnego dnia lewą nogą i dochodzi do wniosku, że ma ochotę zrobić jakis krzywdę tym rodakom, którzy nadużywają słowa

„natomiast”. Goli głowę, zakłada głąny i fiogwera, podwija dzinsy, tatuuje sobie brzydkie słowo na czole i rusza w miasto. Niestety, szybko dochodzi do wniosku, że sam nie da rady. Musiałby zabić ich wszystkich. Natomiast liczy się, że przynajmniej próbował).  
KURTYNNA opada wraz z ostatnią negatywną emocją.

## ROMAN KURKIEWICZ Pochwała analfabetyzmu

Czytanie szkodzi, czytanie jest zbędne, czytanie winno być zabronione. Natychmiast, póki nie jest za późno



LEWO  
MYŚLNI

ak Jarosławowi przypomina się, jakie książki czytał, żeby wyśmiać Tuskę, zanim zostanie wyprawadzonny na zakupy nie do Biedronki, tak mnie się przypomniła anegdota dwóch miejsc: nowohucko-nowojorska. Rok 1949, Nowa Huta. Kolejka kandydatów do kopania dołów pod fundamenty. Dostają kurfajkę, gumoflice i łopatę. Kwitują podpisem: Okazuje się, że któryś kolejni nie umie pisać. A paszok wroni. Nici z gumofliców i kantery budowniczego Nowej Huty. Rok 2000, Nowy Jork, 5th Avenue. Jeden z najdroższych sklepów jubilerskich. Świecenie ubrania starszy mężczyzna starannie wybiera biżuterię: kolbę z brylantami, bransoletkę ze złota, pierścionek z wielkim brylantem. Nie zrażają go ceny: 200, 300, 400 tysięcy dolarów. Przychodzi do placenia. Z podręcznej torby zaczyna wyciągać zrolowane banknoty: 100, 300, 500 tysięcy... Przerazoni sprzedawca ledwo jest w stanie mówić: Proszę pana, jak pan może taką gotówkę nosić w czasach kart, czeków, przelewów? Jeden podpis i już... I słyszy w odpowiedzi: Panie, gdybym ja umiał pisać, tobym do dzisiaj kopał pod fundamenty w Nowej Hucie, a nie robił zakupy u pana.

Czytanie jest przestarzałe, demodé, archaiczne, niekonieczne, zbędne, przereklamowane. Przynosi sporo krzywd i nieszczęść, kiedy tyłu nieanalfabatów i tyle nieanalfabetek co nigdy dotąd dowiaduje się o nieszczęściach, katastrofach, wojnach, gwatach, epidemiach. I nic.

Należy dokonać światowego przewrotu polegającego na powrocie do analfabetyzmu. Jak niewiarygodnie wzrosną wówczas wskaźniki czytelności! Należy wzorem chińskiej polityki reprodukcyjnej jednego dziecka wprowadzić zasadę jednej litery, no, może dwóch, które człowiekowi wolno bezkarnie znać. Umiejętność poddyswania dokumentów, czeków i przelewów w epoce skanerów siatkówek i czytników linii papilarnych nie jest potrzebna. Przedłuża wykonywanie czynności i separuje od prawdziwego życia.

Literalnie rzecz biorąc: żądam delegacji liter i produktów z nich powstających oraz z jeszcze większą mocą oczekuję zdelegalizowania nawet umiejętności różniarnia niewielkiej ilości słów na własny użytek. Literom śmierci!



w obie strony

za **329** PLN

POLSKIE LINIE LOTNICZE

**LOT**

A STAR ALLIANCE MEMBER

# Europa w jednej cenie



Rzym, Frankfurt, Londyn, Wiedeń, Helsinki, Budapeszt, Praga, Moskwa, Bruksela, Paryż, Mediolan, Zurych, Monachium, Amsterdam i inne połączenia w nowej Taryfie First Minute znajdziesz pod numerem 19572 i na

**lot.com**

**Taryfa First Minute LOT** łączy wszystkie loty w Europie jedną wspólną ceną.

Całkowita cena biletu zakupionego na lot.com w Taryfie First Minute na bezpośredni lot w obie strony zawiera wszystkie podatki i opłaty, może ulec zmianie w zależności od terminu zakupu biletu.